

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIII. Kraków, 9 grudnia 1916. Nr. 50

Pogrzeb cesarza Franciszka Józefa.

Karawan ze zwłokami w żałobnym orszaku.

Pogrzeb cesarza Franciszka Józefa.

Ogólna cześć, jaką cieszył się cesarz Franciszek Józef na całym świecie, przywiązanie i miłość wszystkich ludów monarchii, ujawniły się w całej pełni podczas uroczystości pogrzebowych, które stały się potężnym hołdem dla zgasłego Monarchy — hołdem, który swą imponującą wielkością i serdecznością był świadectwem, jak owocnie zmarły Cesarz wypełnił wielką misyę, której przez przeszło dwa pokolenia ludzkie poświęcił całą swą mądrość i siłę, całe swe życie.

Powietrze, które w ostatnich dniach było pochmurne i chłodne, wypogodziło się w godzinach przedpołudniowych, a kiedy zbliżała się godzina pogrzebu, jaśniało w pełni słońce nad miastem. „Pogoda cesarska", która przy tylu uroczystych jazdach Zmarłego dodawała wspaniałości zewnętrznej, pozostała Mu wierną także podczas Jego ostatniej drogi.

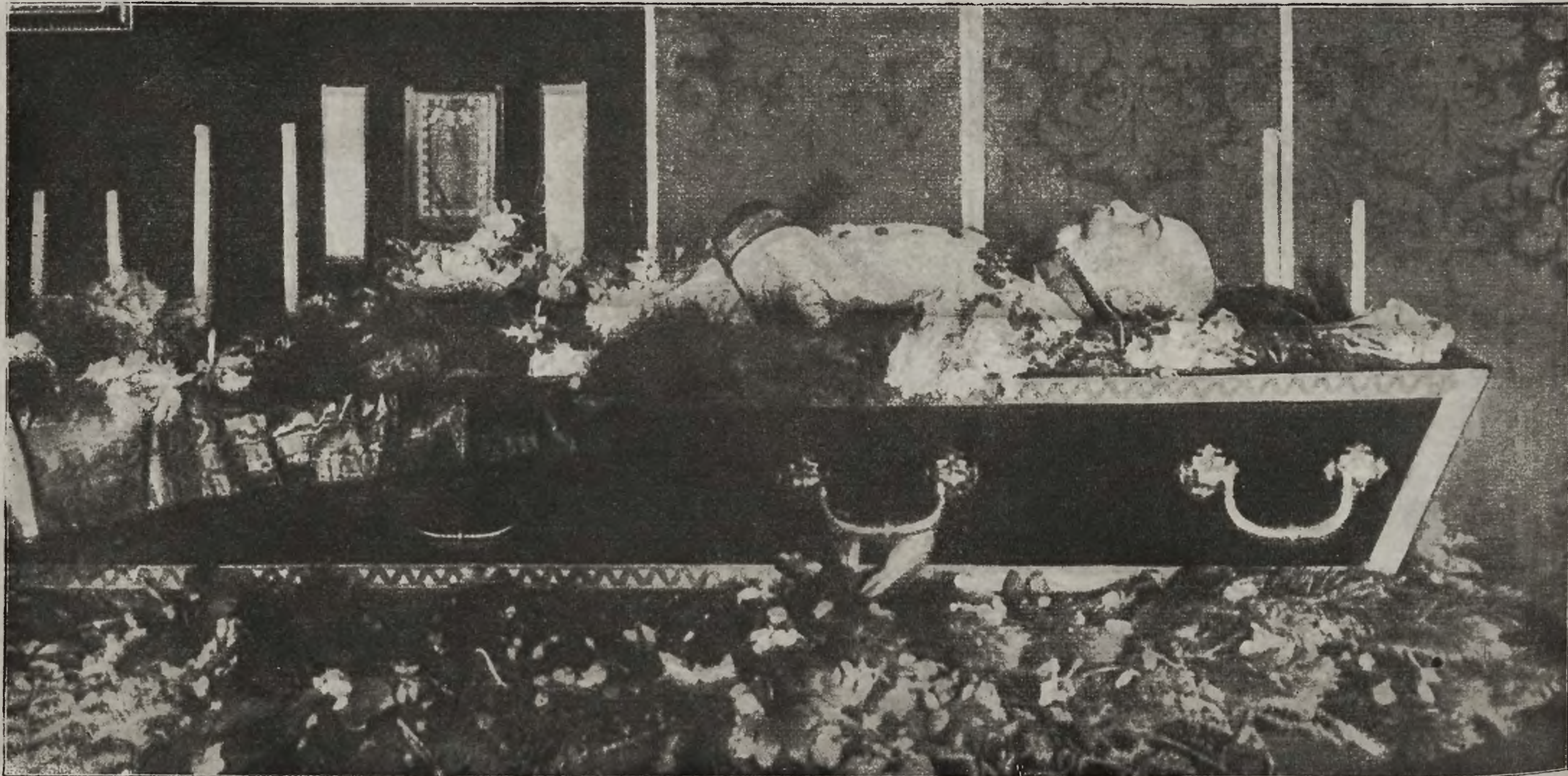
Tuż po godzinie pierwszej w południe z miejskim klerem na czele ruszyli mieszkańcy wiedeńskich przytulisk, członkowie pobożnych instytucyi z kościoła Augustyanów do wewnętrznego placu w Burgu.

W kaplicy nadwornej pierwszego pokropienia zwłok dokonał nadworny proboszcz zamkowy dr. Seidel, z wielką asystą duchowieństwa, poczem kamerdynerzy dworscy i lokaje przyboczni podnieśli trumnę, którą zaniesiono do karawanu stojącego na podworcu szwajcarskim. Na czele szli proboszcze nadworni i zamkowi, asystujący kapelani dworscy i służący kaplicy dworskiej.

Pierwszy ochmistrz dworu ks. Montenuovo ze sztabem, trzy najwyższe szarże dworskie, kapitanowie gwardyi przybocznej, węgierski marszałek dworu, służący dworscy, generał adjutanci, obaj książęcy podkomorzowie i adjutanci przyboczni postępowali za trumną, którą eskortowało ośmiu paziów z płonącymi pochodniami woskowemi, gwardye łuczników, trabantów i gwardya węgierska. Po ponownem pokropieniu trumny umieszczonej na karawanie, wśród odgłosu dzwonów wszystkich kościołów Wiednia, ruszył pochód żałobny. Dwaj knechci dworscy z latarniami, szwadron kawaleryi, jeden masztalerz dworski na koniu, tworzyli czoło pochodu. Za nimi jechał zaprzężony w dwa konie powóz dworski z kamerdynerami dworskimi, komisarz dworski na koniu, dwa galowe powozy dworskie z adjutantami przybocznymi, zaprzężone w dwa konie, galowy powóz dworski z książęcymi podkomorzymi, zaprzężony w sześć koni, galowy powóz dworski z generał-adjutantami, dwaj knechci dworscy na koniach z latarniami, potem poszóstne galowe powozy dworskie ze służbą dworską, kapitanami gwardyi przybocznej i marszałkiem dworu węgierskim, poszóstny galowy powóz dworski z wielkim podkomorzym i wielkim marszałkiem dworu, galowy powóz dworski z pierwszym mistrzem dworu, między tymi powozami po dwóch knechtów dworskich na koniach z latarniami. Oddział kompanii piechoty gwardyi przybocznej, oddział szwadronu jeźdźców gwardyi przybocznej pieszo i po jednym oddziale obu przybocznych gwardyi trabantów, każdy pod



Pogrzeb cesarza Franciszka Józefa: Cesarz Karol i cesarzowa Zyta z następcą tronu w orszaku żałobnym.



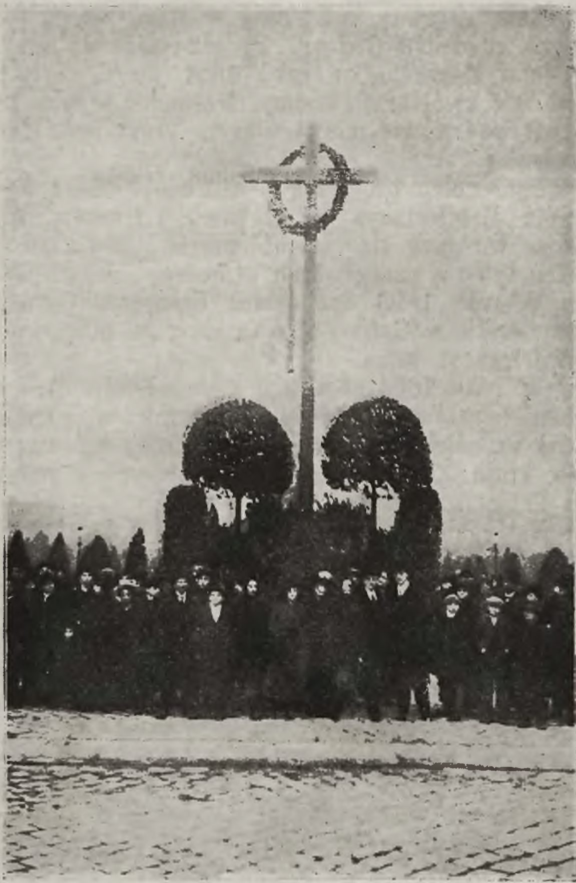
Pogrzeb cesarza Franciszka Józefa: Zwłoki cesarza Franciszka Józefa po złożeniu do trumny.

kierownictwem jednego oficera, kroczyły przed czarno-udrapowanym karawanem z trumną, zaprzężonym w ośm rumaków. Po obu stronach eskortę karawanu tworzyli czterej lokaje przyboczni z płonącemi pochodniami woskowemi, czterej paziowie, dwie szarże gwardyi i cztery z gwardyi łuczników i gwardyi węgierskiej, po każdej stronie po jedym oficerze, wachmistrzu i po 8 gwardzistów obu gwardyi trabantów i szwadronu jeźdźców gwardyi przybocznej, tudzież kompanii piechoty gwardyi przybocznej. Po prawej stronie jechał wielki koniuszy.

W chwili gdy karawan przez bramę szwajcarską



Pogrzeb cesarza Franciszka Józefa: Zagraniczni panujący w orszaku żałobnym: (Od prawej ku lewej) król bawarski, król bułgarski, król saski, niemiecki następca tronu, bułgarski następca tronu.



Pogrzeb cesarza Franciszka Józefa: Klomb kwiatowy z krzyżem w pośrodku naprzeciw starej bramy Burgu, z której wyruszył kondukt żałobny.

dotarł do wewnętrznego placu Burgu, który, podobnie jak plac zewnętrzny, był gęsto zapełniony publicznością, straż zamkowa oddała zmarłemu najwyższemu wodzowi ukłony honorowe. Po raz ostatni pochyliła się przed Monarchą chorągiew, otulona żałobą.

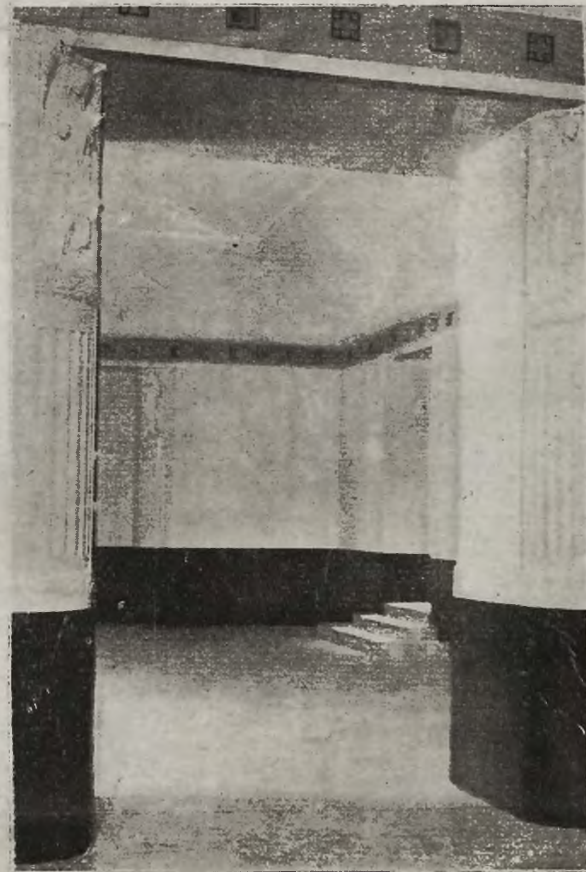
Wśród ludności stojącej z odkrytą głową i w niemej żałobie, przesuwa się imponujący orszak pogrzebowy, głębokie wzruszenie przebija się z twarzy wielotysięcznego tłumu, wiele osób rzewnie płacze. Długim łańcuchem przyłączają się delegacye austryackich królestw i krajów, komitatów i municypiów Węgier, Chorwacyi i Slawonii, miast, niezliczonych korporacyi wszystkich stanów, świata urzędniczego i stowarzyszeń. Podczas gdy właściwy orszak pogrzebowy skręcał w ulicę Rotenturm, dalszy orszak rozwiązał się w tem miejscu.

W międzyczasie członkowie domu cesarskiego, przybyli na pogrzeb do Wiednia członkowie spokrewnionych i zaprzyjaźnionych domów książęcych, nadzwyczajni posłowie, ciało dyplomatyczne, tajni radcy, ministrowie, urzędnicy dworu, urzędnicy władz centralnych, generalicya i wolny od służby korpus oficerski, prezydya i członkowie obu Izb parlamentu i Sejmu węgierskiego, prezydya reprezentacyi miejskich stołecznych miast Wiednia i Budapesztu, jakoteż deputacye, zebrały się przed kościołem św. Szczepana.

Tuż przed godziną trzecią przed główną bramę kościoła przybył cesarz Karol i cesarzowa Zyta ze swym orszakiem dworskim. Droga była czarno nakryta, potężne filary do połowy swej wysokości spowite kirem i ozdobione herbami domu cesarskiego. Na znak, że kondukt się zbliża, para cesarska i najwyżsi dostojnicy udali się na miejsca wyznaczone w prezbiteryum, poczem kardynał, ks. arcybiskup Piffl, z orszakiem asystujących biskupów i prałatów, kapituły kościoła i duchowieństwa, udał się z zakrystyi do bramy kościoła dla wprowadzenia zwłok najdostojniejszych. Teraz zdjęto trumnę z karawanu i poprzedzaną przez duchowieństwo, w otoczeniu paziów i oficerów gwardyi przybocznej, poniesiono do prezbiteryum i ustawiono na katafalku.

Ks. kardynał dr. Piffl przystąpił do trumny i dokonał pobłogosławienia, któremu towarzyszyło głębokie wzruszenie i uczucie żalu, obejmujące całe zebranie żałobne, wypełniające obszerny kościół aż do ostatniego miejsca. Dwadzieścia minut po godzinie trzeciej ceremoniał był ukończony. Wśród przejmujących tonów „Libera“, wykonanych przez chór kaplicy dworskiej, zdjęto trumnę i kamerdynerzy oraz służba dworska, wśród takiego samego orszaku, jak przy wnoszeniu, ponieśli ją na karawan.

Znowu poruszył się orszak pogrzebowy. Bezpośrednio za karawanem postępował teraz cesarz i cesarzowa, panujący i książęta zaprzyjaźnionych krajów, arcyksiążęta, obce księżniczki i arcyksiężne, specyalne poselstwa innych krajów i zagraniczne, deputacye oficerskie, świta panujących i książąt i deputacye pułków państwa, których właścicielem był Zmarły. Łucznicy i węgierscy gwardziści na koniach, kompania piechoty i szwadron kawaleryi zamykały



Pogrzeb cesarza Franciszka Józefa: Nowa część grobu w krypcie kościoła O. O. Kapucynów, gdzie złożone zostaną zwłoki Monarchy i Jego najbliższej rodziny.

pochód, który poruszał się wśród szpaleru delegacyi, wysłanych z armii w polu.

W drodze z tumu św. Szczepana do kościoła OO. Kapucynów za trumną Monarchy postępowali: bezpośrednio za karawanem cesarz Karol i cesarzowa Zyta, między nimi zaś następca tronu, arcyksiążę Franciszek Józef Otto, który podczas pokropienia zwłok w tumie przebywał w oratoryum. Następca tronu ubrany był w białą sukienkę z żałobną przepaską na lewem ramieniu i czarną szarfą i szedł przy rodzicach. Bezpośrednio dalej postępowali królowie: bawarski, saski, bułgarski; następcy tronu: niemiecki, turecki, szwedzki, infant hiszpański Fer-



Pogrzeb cesarza Franciszka Józefa: Publiczność, oczekująca swej kolei na dopuszczenie do zwłok Monarchy.

dynand, książę Waldemar duński; następcy tronu: saski i bawarski; sascy książęta, następca tronu Borys bułgarski, książę Cyryl, księżniczki Eudoksya i Nadieżda, dalej książę Filip Albrecht wirtemberski, potem szli książęta: badeński, sasko-weimarski i wszyscy przybyli książęta Rzeszy niemieckiej, jako też przedstawiciel khedywa egipskiego, książę Ibrahim Hilmi.

Za nimi postępowali wszyscy arcyksiążęta, potem królowa bawarska, księżna Matylda saska; księżniczki wirtemberska i Parma, hrabina Trani (siostra zmarłej cesarzowej); następnie arcyksiężne, przedewszystkiem córki zmarłego Monarchy: arcyksiężna Gizela i Marya Walerya, wnuczka cesarza księżna Elżbieta Windischgraetz, hrabina Stefania Lonyay, dzieci zmarłego następcy tronu, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, księżniczki bawarskie i saskie, członkowie rodzin braganckiej i burbońskiej, Lichtensteinów i Hohenlohe, między nimi także ambasador austro-węgierski w Berlinie, para książęca Radziwiłłów, para książęca Czartoryskich, książę Wiktor Ratibor; za nimi specyalne poselstwa zagraniczne i deputacye oficerów.

Trumnę przyjęło duchowieństwo, poczem wniesiono ją do kościoła i ustawiono na katafalku. — Najwyżsi uczestnicy żałobnej uroczystości, jak i wszystkie osobistości, które towarzyszyły Najwyższym zwłokom na tej części ostatniej drogi, zajęły w obitym w zupełności kirem kościele wyznaczone miejsca.

Jeszcze raz pokropiono Najwyższe zwłoki, ponownie wykonali śpiewacy nadwornej kapeli „Libera“, poczem trumnę podniesiono i wśród modłów żałobnych przy świetle pochodni zniesiono do grobowców. Poprzedzali OO. Kapucyni. Wśród głębokiego bolu towarzyszył wśród łez wzrok członków Najwyższego domu cesarskiego i innych zebranych trumnie, którą do grobowców odprowadzili Jego cesarska Mość, cesarz Karol, pierwszy najwyższy ochmistrz dworu ze sztabem i obaj książęcy podkomorzowie. Tu ustawiono trumnę w przedsionku,



Pogrzeb cesarza Franciszka Józefa: Deputacya krakowskich włościan.

by według życzenia zmarłego Monarchy w późniejszym czasie znalazła ostateczne miejsce między sarkofagiem cesarzowej Elżbiety i następcy tronu, arcyksięcia Rudolfa.

Po skończonem pokropieniu, pobłogosławieniu zwłok i modłach żałobnych wręczył pierwszy najwyższy ochmistrz dworu klucze od trumny Najwyższych zwłok gwardyanowi OO. Kapucynów i polecił ją jego pieczy, poczem Monarcha z orszakiem powrócił do kościoła i Najwyżsi uczestnicy opuścili kościół. Nastał już zmierzch, gdy zakończyły się uroczystości żałobne.

W smutnym obrzędzie pogrzebowym wzięli liczny udział Polacy, którzy zjawili się w strojach narodowych, zwracając powszechną uwagę. Oprócz członków Koła polskiego i Sejmu, przybyły liczne deputacye z Galicyi, a między innemi delegacya włościan z powiatu krakowskiego.

Cesarz Franciszek Józef w Galicyi.

Zmarły cesarz sześć razy w ciągu swego panowania odwiedził Galicyę. Po raz pierwszy przybył 21-letni Monarcha w roku 1851 do Galicyi, aby zwiedzić swój kraj koronny. Następnie w roku 1855 bawił we Lwowie u swego brata, arcyksięcia Karola Ludwika.

Szczególnie uroczystą podróż odbył cesarz w roku 1880. Manifestacye w Krakowie i Lwowie, urządzone wówczas na cześć Monarchy, tkwią po dziś dzień żywo w pamięci osób, które były ich świadkami.

W roku 1893 był cesarz Franciszek Józef na manewrach w Galicyi i w czasie tego pobytu przyjął delegacye kraju.

W roku 1894 odwiedził cesarz Lwów dla zwiedzenia wystawy krajowej. Wówczas to wypowiedział na odjezdnem pamiętne słowa do reprezentantów kraju: „Rozumiemy się wzajemnie i możemy na siebie liczyć“.

Następnie gościł cesarz Franciszek Józef w Galicyi podczas manewrów w roku 1900, a ostatnio odwiedził stolicę kraju w roku 1904 po manewrach pod Komarnem.

Cesarz Franciszek Józef w Galicyi: Powitanie cesarza Franciszka Józefa w Jaśle w r. 1900.

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

10

— Widzisz — ciągnęła dalej Walczakowa — Kazio mi już kilkakrotnie wspominał o tem. On bardzo ceni Michnika... Pamiętaj, Józiu, że to nie Laniecki, znudzony, zblazowany panicz i nie Żarnicki, lekkomyślny bałamut i rozpieszczony mamin synek... Pan Władysław, to człowiek ciężkiej, obowiązkowej pracy — bardzo prostolinijny i głęboki. Jego szkoda na zabawkę dla ciebie... Ty to rozumiesz, prawda, Józiu? I przestaniesz go tak bezmyślnie kokietować?...

— Ja bardzo lubię pana Władysława — wyjąkała zakłopotana Józia, unikając spojrzenia przyjaciółki. — On jest dobry i miły...

— A czy zdecydowałabyś się zostać jego żoną i prowadzić tutaj na wsi, jako żona nauczyciela, ciche, skromne, pracowite życie?

— Nie wiem... może... nie zastanawiałam się nad tem... Zresztą, on mi się jeszcze nie oświadczył!

— O, Józiu! Zaczynasz się wykręcać! To źle i brzydko... Nie jestem przecież ślepa i wiem o tem dobrze, że Michnik gotów się oświadczyć każdej chwili, byleś mu tylko na to pozwoliła... No, masz tobie, teraz zaczynasz płakać!... Ej, Józka, kto z tobą do ładu dojdzie!...

— Anielko! Ja nie wiem... ja sama siebie nie rozumiem... Jestem widocznie zła, bardzo zła... Najlepiej będzie, jeżeli sobie zaraz z Zalesinek pojadę do ojca, do ciotki...

Józia zaniosła się nagle głośnym szlochem.

— Przestań pleść głupstwa — rozgniewała się Anielka. — Właśnie, że w Zalesinkach zostaniesz, tylko muszę cię przerobić... Poczekaj! Zapędzę cię do systematycznej roboty, to ci twoje flirty z głowy wywietrzeją! A za Michnika przecież nie wydaję cię gwałtem, tylko mówię: nie budź w nim nadziei i marzeń, jeżeli nie chcesz ich urzeczywistnić! Ale dosyć już o tem! Od kogo ten drugi list? Widzę, żeś go jeszcze nie wyjęła z koperty.

— Ach, to od ojca!

Józia wzięła list i przebiegła go szybko oczyma. Po chwili na twarzy jej odmalowało się zdziwienie i niepokój.

— A to nowa niespodzianka! Ojciec, który dotychczas uważał mnie za smarkatą i nawet wspomnieć nie pozwalał o małżeństwie i miłości — wiesz przecież, jakie wtedy były awantury z Konradem — teraz, ni stąd ni zowąd, pisze mi, że jestem już dorosła i trzeba myśleć o mojej przyszłości... „Poważny, stateczny mąż, na dobrem rządowem stanowisku, jest najlepszem zabezpieczeniem dla kobiety"... No i w końcu uwaga, że pan profesor Stobiński często dopytuje się o mnie, a to jest człowiek poważny i bardzo do rzeczy... Co to znaczy? Chyba ojciec nie myśli, żebym ja miała za tego...

— Cóż to za pan Stobiński?

— Ach! To jeden „belfer" — wstrętna, obrzydliwa figura... Zwija się zawsze, jakby był z gumy, a wargi ma wiecznie zaślinione i ręce spocone... Brr! Przezwyciężać się musiałam, kiedy trzeba mu było podawać rękę... A najgorsze to jego oczy — tak błyszczą jak próchno... Ile razy spojrzałam na niego, to mi się przypominało zawsze określenie pana Zagłoby o kimś tam, że wygląda „jakby dyabła za paznchą nosił".

— Jeśli tak jest, jak mówisz, to niepodobna, aby cię ojciec chciał przymuszać do wstrętnego dla ciebie małżeństwa!

— Moja droga, nie znasz mojego ojca — zauważyła sceptycznie Józia — jeżeli mu Stobiński tylko obiecał, że nie będzie żądał posagu...

Zamyśliła się jakoś ponuro. Rysy jej twarzy ściągnęły się, stężały, postarzały nagle, w przeźroczach turkusowych źrenic przejrzała się gryząca troska.

— Nie, tego za dużo! — wybuchnęła po chwili — Stobińskiego nie pozwolę sobie narzucić!

— Uspokój się, Józiu! Nikt cię przecież jeszcze do ołtarza nie wlecze. Gdyby ojciec miał doprawdy taki zamiar, jak przypuszczasz, to znajdzie się na to rada!

— Musi się znaleźć, choćbym miała... No, masz racyę, że jeszcze czas myśleć o tem... Poco sobie psuć piękne chwile? Słuchaj, Anielko, powiedz mi, co ja mam odpisać Konradowi?

— Mojem zdaniem, nie powinnaś wcale odpisywać! Ze zwrotu listów możesz zrezygnować.

— Wiem, że masz racyę, ale cóż, kiedy ja nie wytrzymam... Już ja siebie znam... Napiszę, choćbym nie chciała!

— Na to ci już nic nie poradzę.

— Wiesz co — zawołała nagle uradowana Józia — mam doskonały pomysł! Odpiszę mu krótko a dobrze, tak, jak śpiewają...

Dziewczyna ujęła się ręką pod bok i zanuciła wesoło:

„Kto mnie chce, niech drużby
Z wódką do mnie przyśle"...

ROZDZIAŁ VI.

Dzień był jarmarczny. Koło południa słońce dopiekało silnie, kroplisty pot oblewał twarze powracających z jarmarku.

Pomimo pięknej pogody, ruch na gościńcu był dość słaby i jakby ospały. Próżno było szukać tego gwaru życia, malowniczcści, jakie cechowały takie przedwojenne powroty z jarmarku, kiedy to młodzi chłopi, dziarscy parobczaki, podochoceni najczęściej, powracali z „fantazyą" w kapeluszach na bakier, ze śpiewkami na ustach. — Kiedy kobiety pyszniły się tęczą barw nowych chustek i jaskrawych materyi, dziewczęta chichotały i przekomarzały się z parobkami, a dzieci potrząsały radośnie rękami, pełnemi cukierków, pierników, obwarzanków, kukiełek...

Tak bywało, a teraz... Teraz zasępienie jakieś przygasiło bujną radość życia, twarda konieczność wojny przytłumiła kipiący ruch jarmarczny.

Fur przejechało zaledwie kilkanaście. Tych zaś, którzy pojedynczo lub małemi gromadkami powracali piechotą, było także niewielu i niezbyt wydatne poczynili zakupy.

Ten i ów pędził prosię lub cielę — kobiety niosły w koszykach trochę niezbędnych sprawunków: kilo cukru, paczkę herbaty, pół funta kawy, kawałek mydła, jakiś garnek, kilka łyżek itp. Tu i ówdzie chłop oglądał nowe buty, a baba międła w ręku jakąś materyę, sprawdzając jej jakość.

— Mościewy — prawiła żywa, przysadzista kobiecina z twarzą rumianą, jak jabłko, choć pomarszczoną — co to teroz warte jarmarki... Ani sie im równać z dawnymi — bo to i sprzedać nie bardzo jest co i kupić, nie dokupi sie... Jednego ci sprzedać nie pozwolą, drugie ci zabierą i belejako zapłacą, a jak już sprzedos dobrze, to co kupis za to, telo co nic... Cukru nima, kawy jak na likarstwo, buty i materyje drogie, że rety, przerety i o wszystko sie proś żydów.

— Sumiennie godocie, kumosko — przytwierdziła jej towarzyszka wysoka i chuda — popatrzcie sie... Kupiłam dziewuse na spodnicę... Taka to lichota, żebym w rękę downij nie wzienam, a teros beze trzech szóstek pięć papirków zapłaciłam i jescem rada, żem dostała... A dyć jak jo się wydawała, to mi mamusia butów za piątkę kupić nie chcieli, a latoś jaze trzydzieści papirków wol!

— Ale i za jajka dobrze płacili — wtrąciła inna — po szóstce...

— Co ta z tego, kiej się ten cent w ocymnieniu rozeńdzie, jakbyś co nie bele co kupił i choć szklankę arbaty u Jabramka sie napił...

— Ot, rozjojcały się baby, a wiadomo, że jojcenie tyle warte, co łoński śnig — zauważył filozoficznie wysoki, posiwiały mężczyzna, który pomimo upału miał baranicę na głowie — jak jest, tak jest i tak być musi...

Gdzieindziej toczyła się rozmowa na inny temat:

— Cóż ta z wasym słychać? Była jaka wiadomość?

— Ani, ani... Jakby się pod ziemię zapod, jakby go nigdy nie było... Com się nie napisała... I dziedziczka ze dworu pisała mi do „rejmentu" i nic — odparła młoda kobieta o twarzy bladej, mizernej, jakby przywiędłej od płaczu i zgryzoty.

— Może w niewoli jest i sam się obezwie...

— W niewoli, w niewoli, ino moze w takiej, co się z niej nie wraca...

Młoda mężatka westchnęła ciężko.

— A wasz pisze?

— Dzięka Bogu, była kartka od niego, o tabak pisze, a tu trudno dostać... Skąd go wziąć... Ale, ale... widzieliście?... Oglądajcie się ino... A to se Franka Sojkowa znowuś dogodziła!...

Srodkiem gościńca szła, zataczając się nieco, młoda kobieta, rosła, tęga, barczysta.

Ubrana była ze śmieszną pretensyą do miejskiej mody i elegancyi, która z jej ogromnej postaci zdrowej, hożej dziewki, czyniła komiczną karykaturę. Jaskrawo czerwona bluzka z lichej, naśladującej jedwab materyi, opinała zbyt ciasno bujne piersi i grube ręce o twardych, doskonale wyrobionych mięśniach. — Za każdem silniejszem poruszeniem ramion, lub głębszym oddechem, pękała cienka tkanina. Szeroko rozrosłe biodra plątały się w fałdach granatowej spódnicy, której krój objawiał stanowcze pretensye do mody, a jednocześnie zdradzał nieumiejętną rękę jakiejś krawcowej małomiasteczkowej lub wiejskiej.

Wielkie, niezgrabne stopy wtłoczyła kobieta w lakierowe pantofle na wysokich obcasach, które już zdążyła porządnie wykrzywić.

Bujne, złotawo-kasztanowate włosy przyozdobione były mnóstwem szpilek i grzebyków i spiętrzone w jakąś monstrualną „fryzurę".

Twarz o pospolitych, ale dość kształtnych rysach możnaby nazwać nawet przystojną, gdyby nie uderzała w tej chwili nienaturalną czerwonością cery, zamgleniem oczu i nie raziła dziwnie niemiłym wyrazem wyzywającej zuchwałości.

Od kobiety tej biła silna woń wódki, zmieszana z odorem potu i zapachem ordynarnych perfum.

Szła śmiało, zamaszyście, wielkimi krokami, chociaż nogi niezupełnie były jej posłuszne.

Ale ona nic sobie z tego nie robiła i śpiewała na cały głos:

„Da dziwują się ludzie,
Da dziwują panowie,
Da że ja nie noszę
Wianeczka na głowie.
Noszę go w kieszeni,
Bo się chłopców boję,
Żeby mi nie wzięni!"

Na gościńcu ozwały się śmiechy i posypały się uwagi wielce niepochlebne dla pijanej kobiety.

— A to se Franka pozwoliła!

— Uchlała się, z przeproszeniem Boga i starszych, jak świnia!...

— Skąd ona tych centów nabiera?!

— Zasiłek dopiero co wzięna, to go i przepiła zara, pewnie z jakim kawalirem! Niby to szynkować nie wolno, a u Jabramka zawdy cichcem dostanie, jak ino trzy razy więcej zapłaci... A choćby ta France piniendzy przybrakło, to jej żyd zaborguje... Jest jej to na czem patrzeć! Niema to gruntu i domu? Trafią ta żydy do tego — perorował chłop w baranicy.

— A jak się to wystroiła, jak miastowa pani — zaśmiała się jakaś dziewczyna. — Wizytka*) jedbowna, spódnica po modzie, pantofelki „fajne", a „parfonami" to od niej jedzie, że trza nos zatykać!...

— A pieknie jej z tem, jak, nie przymierzający, psu w prześciéradle!

— Moiściewy, ale jak to ona prędko tego swojego bidoka zabaczyła... Przecie to trzech miesięcy nie będzie, jak przyszła wiadomość, że zginął — zauważyła owa mizerna kobieta, opłakująca zaginionego męża.

— E... ona go ta zawdy za hetkę, pętelkę miała, zawdy innych patrzyła! A przez tę wojnę to się na piekne rozbuchała!

— Biedne dzieciąta, biedne sieroty!

— Oj, biedne, biedne! Pójdą na dziadowski chleb przy takiej matce!

Do pijanej Franki zbliżyła się siwa kobieta, w której chudej twarzy, powleczonej żółtawą, pomarszczoną skórą, płonęły żywą energią czarne oczy pod gęstemi, krzaczastemi brwiami.

— Franka! I cóże ty najlepszego robisz?

Franka wybuchnęła wrzaskliwym, bezmyślnym pijackim śmiechem.

— Jak się macie, krzesna matko? Możeby my se poszły po „słupek"? Pewnie, że nie wolno?... I! Co tam nie wolno... Jabram dla mnie da...

I na swawolną, hulaszczą nutę zawiodła:

„Kumosiu! Kumosiu!
Popijmy ze sobie!
Ej! Bo nam nie dadzom
Gorzałecki w grobie!"

— Franka! Masz ty wstyd?

Franka zamglonemi trunkiem oczyma spojrzała na mówiącą.

— Wstyd? Jako powiadacie?...

— Masz ty sumienie? A dy te twoje niebożęta tam od głodu płaczą i na matkę czekają, co po jarmarkach i szynkach pieniądze przetraca! Przecie ty tę chudobę, tę ciężką pracę Kubową przemarnisz! A dy to wszystko na żydowskie ręce póidzie!... Zmiłuj się, Franka, nad sobą samą i nad temi sierotami bez ojca! Opamiętaj się!...

Pijana kobieta jakby otrzeźwiała nagle. Krok jej stał się pewniejszy, oczy spojrzały przytomniej, ale zapalił się w nich płomień gniewu.

*) Bluzka.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Nowa placówka polska na kresach wschodnich: Polska szkoła ludowa, założona w Baranowiczach przez Legionistów

Nowa placówka polska na kresach wschodnich.

Dzięki chwilowemu pobytowi Legionów na Litwie powstała nowa placówka polska na kresach wschodnich, mianowicie dnia 1. listopada otwarto uroczyście w Baranowiczach, na rubieży litewsko-białoruskiej, polską szkółkę. W otwarciu wziął udział obecny komendant Legionów, brygadyer hr. Szeptycki z majorem Rylskim i gronem oficerów. Myśl otwarcia szkółki rzucił w komendzie Legionów kapelan ksiądz Panaś. Oficerowie komendy złożyli się na pierwsze potrzeby szkolne, a wielkie trudności w wykonaniu tego dzieła pokonał brygadyer Haller. On też zlecił Czwartakom zająć się budową. Mają oni już markę wyrobioną pod względem organizacyi i budownictwa. Major Rylski, komendant czwartego pułku, pozwolił pionierom wziąć się do roboty, a ci w ciągu paru dni, pod kierunkiem porucznika Służkiewicza, doprowadzili budynek, ofiarowany przez komendę pruską na szkołę, do takiego stanu, że nawet nie trzeba było umieszczać napisu „Polska szkoła", rzut bowiem oka wystarczał, by można było poznać szkolny budynek, w którym znalazły się ławki, tablica, katedra, garderoba i kuchenka.

Poświęcenia szkoły dokonał duchowy jej twórca, ksiądz kapelan Panaś, zacząwszy od wspólnego polskiego pacierza z dziećmi szkolnemi. Miłą niespodzianką dla zebranych gości było, gdy dzieci odśpiewały „Krakowiaczek ci ja, w Krakowiem się rodził", przygotowane przez nauczyciela, odkomenderowanego z czwartego pułku, sierżanta Felisia.

Ze łzami w oczach dziękował brygadyerowi, a w jego osobie wszystkim tym oddziałom Legionów, jakie zajęły się sprawą szkółki, miejscowy proboszcz, ksiądz Ejsmond, za dobre serce polskie, okazane opuszczonej ludności miejscowej. Praca ta, wobec dotychczasowej destruktywnej tylko działalności rządu rosyjskiego, pozostanie na zawsze w pamięci dziatwy i ludności. To pierwszy posiew sympatyi dla polskiego wojska wśród miejscowej ludności.

Otwarcie gimnazyum w Pińczowie.

Po uporządkowaniu stosunków na terenie Królestwa Polskiego, zajętym przez armię austryacko-węgierską, przystąpiono z kolei i do zakładania szkół rozmaitego typu, więc ludowych i wydziałowych, seminaryów nauczycielskich, gimnazyów i szkół realnych, według planów naukowych, obowiązujących w Galicyi. Językiem wykładowym jest wszędzie język polski. Szkoły wszystkie podlegają referentowi szkolnemu przy cywilnym komisaryacie lubelskiego jenerał gubernatorstwa, pozatem fungują przy poszczególnych komendach okręgowych inspektorowie szkolni, zawiadujący szkolnictwem ludowem. Władze okupacyjne austryacko węgierskie nie szczędzą trudów i kosztów, by szkolnictwo w Królestwie Polskiem, które za czasów rosyjskich rządów było bardzo zaniedbane, doprowadzić do rozkwitu, zakładają też ciągle szkoły w różnych miejscowościach, urządzają kursa dla wykształcenia nauczycielstwa, sprowadzają fachowe siły z Galicyi, słowem, wielki nacisk kładą na oświatę, tę najważniejszą podstawę dobrobytu, rozwoju i uświadomienia narodowego.

Ludność miejscowa uznaje te starania i posyła dzieci chętnie do szkół, gdzie kształcą się w języku polskim na przyszłych obywateli kraju.

Do szeregu szkół średnich, założonych dotąd w części austryackiej Królestwa Polskiego przybyła świeżo nowa, mianowicie publiczne gimnazyum realne w Pińczowie. W bieżącym roku szkolnym otwarto na razie klasę pierwszą, do której zapisało się czterdziestu uczniów. Regularna nauka rozpoczęła się z początkiem listopada, uroczyste zaś otwarcie wobec reprezentantów władz i ludności miejscowej i okolicznej odbyło się dnia 22. listopada b. r.

Zakład znalazł pomieszczenie w budynku byłego progimnazyum rosyjskiego. Kierownictwo spoczywa w rękach wytrawnego pedagoga, dyrektora Ferdynanda Śliwińskiego.

Z okazyi otwarcia nowej placówki oświatowej podajemy w niniejszym numerze dwa zdjęcia fotograficzne.



Z pamiętnych dni w Polsce: Uroczystość proklamowania niepodległej Polski we Włoszczowej.



Otwarcie gimnazyum w Pińczowie: Uczniowie i grono nauczycielskie w dniu otwarcia.

Tragiczny zgon działaczki narodowej.

Śmierć zbiera obecnie obfite żniwo. Giną na polach bitew młodzi bojownicy — odchodzą na wieczny spoczynek zasłużeni pracownicy. Do tylu ofiar, jakie pochłonął obecny kataklizm dziejowy, przybyła w tych



Szpital dla Legionistów w Lublinie: Brygadyer Piłsudski (X) po wizytacyi szpitala wśród Legionistów.

dniach ś. p. Marya z Raczyńskich Chodacka, znana w szerokich kołach działaczka narodowa i autorka, żona adwokata i prezesa Komitetu Narodowego w Nowym Sączu. Zmarła nagle, a tragiczny jej zgon nastąpił w chwili, gdy przemawiała na zebraniu, poświęconem proklamowaniu niepodległej Polski!

Wiadomość o zgonie ś. p. Chodackiej-Raczyńskiej odbije się żałosnem echem nie tylko w Nowym Sączu, ale w całym kraju, zmarła należała bowiem do tych niecodziennych postaci, które cały trud życia, całą miłość gorącej, rwącej się do czynu duszy złożyły na ołtarzu ojczyzny. Miłość dla kraju i gorące pragnienie czynu wyniosła z domu rodzicielskiego, który dał jej staranne wykształcenie. Wyszedłszy młodo za mąż, poświęcać się zaczęła literaturze i pierwszym już utworem nowelistycznym p. t. „Ci, co wracają", zwróciła uwagę jako talent pisarski niepowszedni, tętniący gorącem umiłowaniem tematów ojczystych. Taką cechę miały ogłoszone w r. 1903 zbiory nowel p. t. „Dzienniczek Hanusi Tynieckiej", „Listy prababki", „Tancerka z Hois" i powieść „Messyasz" (1906).

Z chwilą wybuchu wojny ś. p. Marya Chodacka oddała się całkowicie pracy narodowej, jako jedna z najruchliwszych członkiń „Ligi kobiet". Dobroczynną jej działalność wspominają gorąco liczne zastępy Legionistów, których pielęgnowała z troskliwością macierzyńską, zabiegając o fundusze na ich cele i cele wszelakich narodowych instytucyi. Na krótko przed śmiercią dotknął ją cios bolesny. Z dwóch młodziutkich synów, którzy zaciągnęli się w szeregi legionowe, jeden stracił w polu oko.

Nagła śmierć gorącej i zasłużonej patryotki, w tak niezwykłych okolicznościach, wywołała szczery i głęboki żal w szerokich kołach.

Cześć pamięci jednej z najzacniejszych Polek!



Z frontów bojowych: Szczątki kościoła, zburzonego w walkach nad Sommą.



Szpital dla Legionistów w Lublinie: Grupa sanitaryuszek.



Szpital dla Legionistów w Lublinie: Ogólny widok szpitala.

Szpital dla Legionistów w Lublinie.

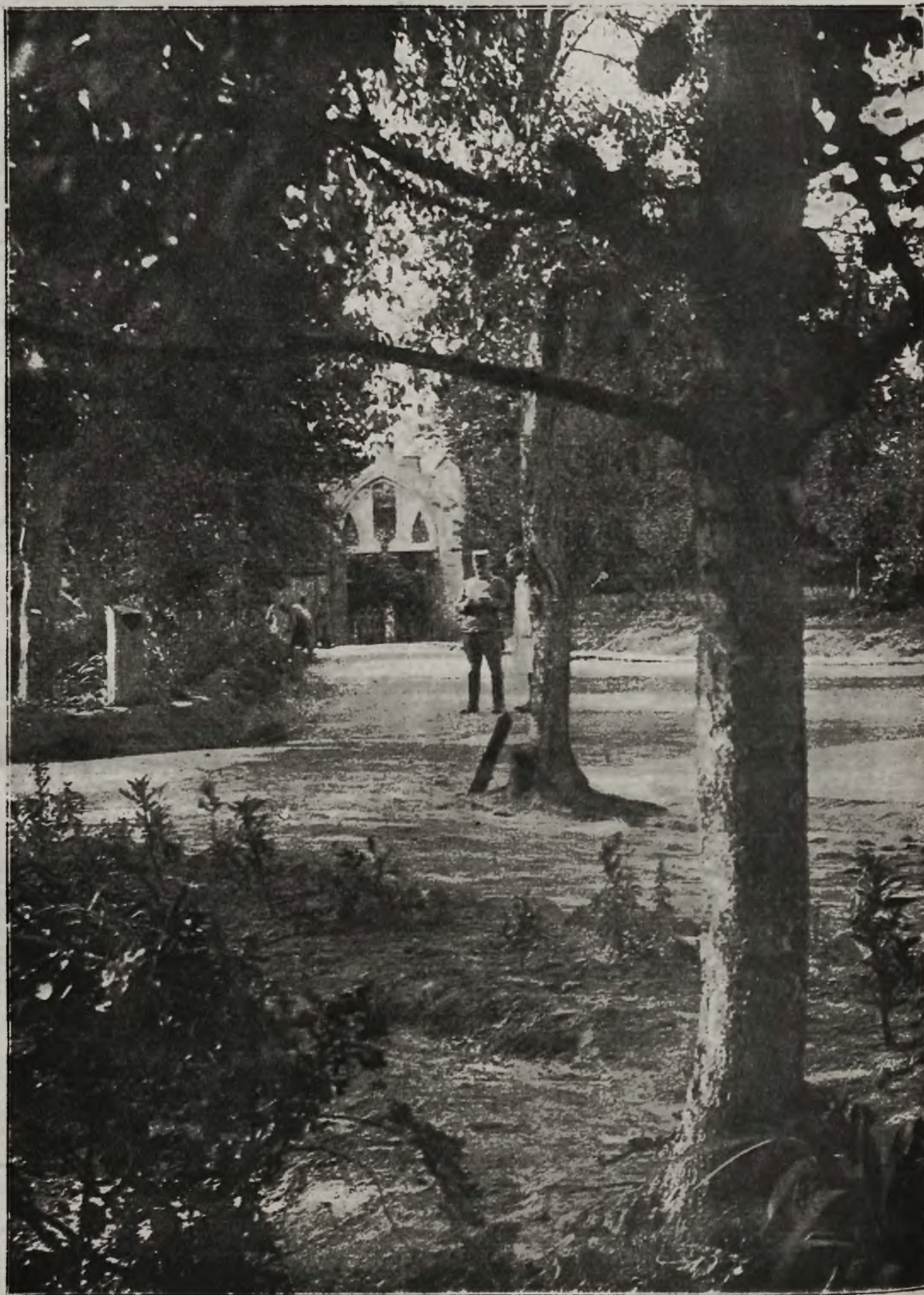
Od stycznia bieżącego roku istnieje w Lublinie wzorowo urządzony szpital polowy, przeznaczony dla rannych i chorych Legionistów. Komendantem jego jest lekarz sztabowy, dr. Jan Kamiński, wychowanek krakowskiej wszechnicy, sercem i duszą oddany powierzonemu jego pieczy zakładowi i dbający na każdym kroku, aby chorym na niczem nie zbywało. Jego zasługą jest założenie ogrodu warzywnego, z którego Legioniści mają jarzyny, i wprowadzanie ciągłych ulepszeń, na co nie szczędzi pieniędzy i własnych, jeśli dotacya przeznaczona na utrzymanie szpitala czasem nie wystarcza. Fachowa wiedza, troskliwość o pacyentów, serdeczne zajmowanie się ich losem, ludzkość i wyrozumiałość, oto przymioty, dzięki którym dr. Kamiński zjednał sobie ogólną cześć, uznanie i sympatyę tych, którzy pozostawali u niego w leczeniu, jak również i wszystkich patrzących na jego działalność prawdziwie obywatelską.



Tragiczny zgon działaczki narodowej: S. p. Marya z Raczyńskich Chodacka.

Szpital dla Legionistów w Lublinie: Sala chorych.





Kaplica. **Szpital dla Legionistów w Lublinie:** Ogród szpitalny.

Uznała to już i przełożona władza, nie szczędząc zasłużonemu lekarzowi wysokich odznaczeń. Najprzyjemniejszemi dlań przecież i najchlubniejszemi, to miłość i sympatya, jakie potrafił wzbudzić w sercu swych byłych i obecnych pacyentów.

Dzielnie sekunduje mu także szef oddziału chirurgicznego, dr. Zaremba, dyrektor szpitala powszechnego z Wadowic, który dotąd wykonał ponad dwieście ciężkich operacyj, nie licząc drobnych, a wszystkie z pomyślnym skutkiem. I ten lekarz cieszy się też ogromną sympatyą i zasłużonem uznaniem i zaufaniem licznej rzeszy pacyentów. Okazało się dowodnie, że pochwały, które go tu poprzedziły, nie były wcale przesadzone.

Szpital lubelski ma dwa oddziały: wewnętrzny i chirurgiczny. Urządzenie wewnętrzne, sprawione kosztem Naczelnej Komendy armii, odpowiada najnowszym wymogom rozwoju sztuki lekarskiej, około urządzenia sali operacyjnej wielkie zasługi położył także i Naczelny Komitet Narodowy. O rozmiarach szpitala świadczy liczba łóżek, która wynosi 500. Siedmdziesiąt pięć z nich, na siatkach dla ciężko chorych, ofiarowała wspaniałomyślnie księżna Lubomirska z Warszawy. Podczas wiosennej ofenzywy, gdy napływ chorych i rannych był nader wielki, nawet korytarze szpitalne musiano zamienić na sale chorych.

Około rozwoju szpitala położyła niemałe zasługi Liga pań z Lublina, na czele której stoi zasłużona p. Tabiszewska. Z prawdziwie matczynem sercem odnosi się do Legionistów p. Bogdanowiczowa (krewna Bogdanowicza, straconego w roku 1863 za koszarami Swiętokrzyskimi w Lublinie). Niesie im słowa pociechy, pełne miłości i tkliwości prawdziwie macierzyńskiej, zajmuje się gorąco ich losem, obdarza podarunkami, słowem stara się wedle sił i możności uprzyjemnić i osłodzić ich ciężką dolę.

Nie ustępują im w niczem i inne panie, które chętnie spieszą za głosem serca i obowiązku i troskliwie pielęgnują naszych dzielnych obrońców Ojczyzny. Lubelskie pielęgniarki mogą służyć za wzór oddania się i przejęcia sprawą, której się dobrowolnie poświęciły.

Kapelanem szpitala jest ks. Bruno Janiewski. Od chwili wybuchu wojny obecny na froncie rosyjskim, odbył całą kampanię w różnych okolicach i odcinkach, za pełną poświęcenia działalność odznaczony krzyżem zasługi dla duchownych. Od chwili otwarcia lubelskiego szpitala przydzielony tutaj przez c. i k. Naczelną Komendę armii, pracuje tutaj z całem oddaniem się i poświęceniem, zyskując sobie należny szacunek otoczenia, uznanie przełożonych i miłość Legionistów, którzy z całą ufnością odnoszą się we wszystkich sprawach do swego zacnego duszpasterza.

Słowem, lubelski szpital dla Legionistów stanął pod każdym względem na wysokości swego zadania i może śmiało zająć jedno z najpierwszych miejsc w szeregu instytucyi humanitarnych, które tak błogosławioną działalność rozwinęły w czasie obecnej wojny światowej.



Z frontów bojowych. Transportowanie dział w górach na południowym froncie.



Z frontów bojowych. Pozycya piechoty austro-węgierskiej na szczycie góry w Karpatach.



Nowa placówka polska na kresach wschodnich: Sierżant Legionów Feliś i kapelan Panaś przy nauce w szkole polskiej w Baranowiczach.



Otwarcie gimnazyum w Pińczowie: Uczniowie i grono nauczycielskie przed budynkiem szkolnym.

Księga wesołości wojennej.

(*Stefan Nowiński:* **„Gruba Berta — Echa 1915—1916“.** Kraków—Warszawa, Gebethner i Spółka.)

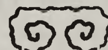
W czasach wszelakich „przystosowań“ wojennych przystosowała się do wojny i literatura. Nie mówię



Z frontów bojowych: Wybuch miny rosyjskiej.

jak wiadomo, bardzo przykre; a znoszenie ich w ponurem milczeniu powoduje duchową niestrawność, odbijającą się bardzo szkodliwie na całym psychicznym, jak i fizycznym organiźmie. Co innego jest wykąpanie tych niedoli w kaskadzie śmiechu, chociażby „przez łzy" i — kolki. Najdolegliwsza nawet niedola, prześwietlona humorem, traci swoją jadowitość. Gdzie jest śmiech — tam jest dobre trawienie; gdzie jest śmiech i dobre trawienie — tam niema wybuchów gniewu. Irytacya rozpływa się w dobrym żarcie, śledziona nie puchnie, a stosunki wśród takich nieśledzienników przybierają pożądany charakter wzajemnej pogodnej życzliwości — nawet pomiędzy wilkiem a owcami. Książki takie, jak „Gruba Berta", pomagają nam trawić małe przykrości wielkiej wojny — z chlebem wojennym na czele. Wystrzały z tej „Grubej Berty" rozpędzają ewentualne chmury niezadowolenia na obywatelskim horyzoncie — są to więc jedyne pociski nie niszczące. Pojedyncze z niej „kawałki" powinny być odczytywane w — ogonkach aprowizacyjnych przez utrzymywanych na koszt gminy lektorów. Byłoby to słuszne odznaczenie „virtuti civili", należne autorowi tej prawdziwej księgi wesołości wojennej — wytwórcy odtrutki literackiej na małe — a i większe niedole wojenne.

Stanisław Mróz.

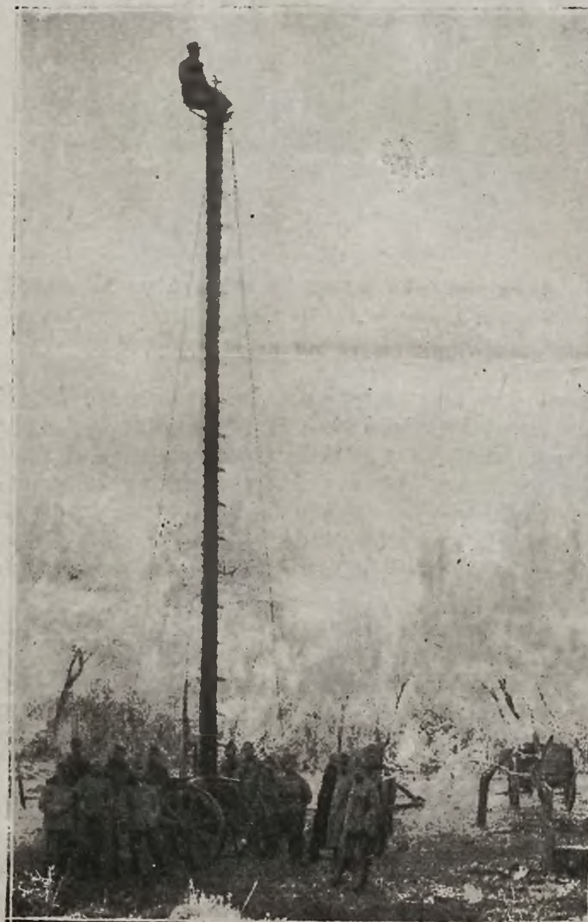


tu jednak o tej literaturze wojennej zawodowo, która krwią formalnie dysze, męstwem bucha — z powodzi atramentu i uderzyła teraz na czytelnika prawdziwą zaciekłą „ofenzywą" banalności i szablonu popartych naiwnem lub perfidnem grafomaństwem: jest to przystosowanie się „businessu". Mam tu na myśli przystosowanie się ideowe, którego w dziedzinie humoru jednym z wesołych a pożytecznych odkrywców jest autor książki, zatytułowanej przez wesołą przeciwstawną figlarność „Gruba Berta".

Mamy tu do czynienia naprawdę z pewnego rodzaju odkryciem wojenno literacko-dziennikarskiem: odbiciem „wielkich wydarzeń" czasu bieżącego w małych, kieszonkowych zwierciadełkach humoru i satyry. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że, ponieważ są to zwierciadełka kieszonkowe, znajdzie w nich odbicia krzywe, sfałszowane i pokraczne; zwierciadełka te, choć małe, z dobrego są literackiego szkła, starannie szlifowanego dowcipem. Szereg tych odbić na wierny składa się i zajmujący obraz rzeczywistości chwili, schwytany na czułą siatkówkę obserwatora-artysty. Orzeczenie, że „umrzeć musi w życiu, co ma ożyć w pieśni", jest może słuszne, ale powstało dawno, kiedy okresy życia mierzono co najmniej na stulecia. Dziś przeniknięci jesteśmy świadomością, że wszystko umiera i rodzi się na nowo co chwila i to wielkie falowanie życia w sekundach odbija się w naszem na nie patrzeniu i ujmowaniu go artystycznem. Coś, jakby fotografia momentalna —



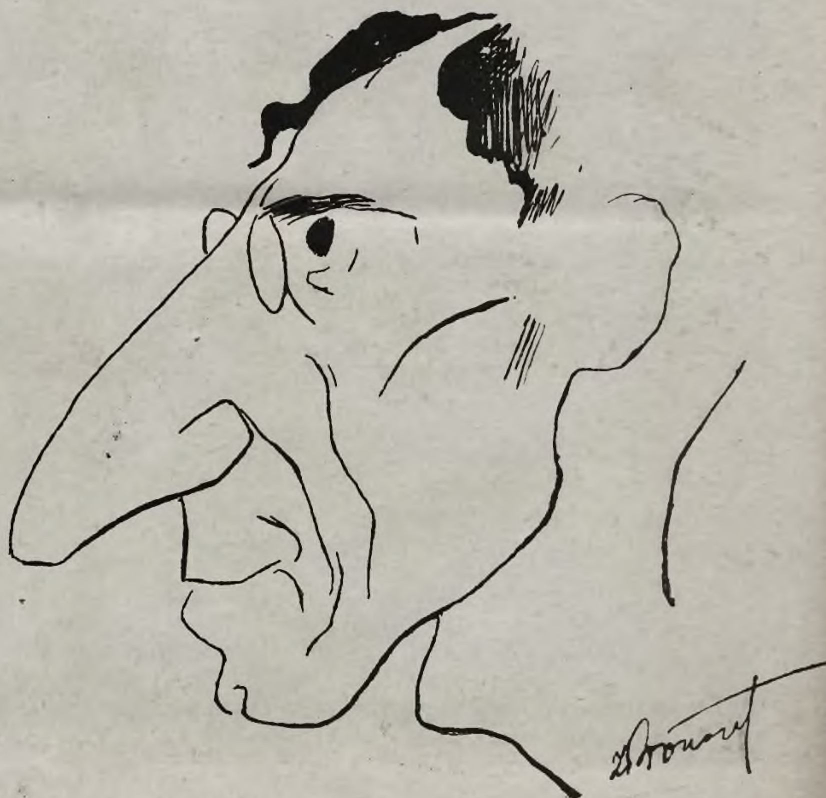
Szpital dla Legionistów w Lublinie: Komenda szpitala: Siedzą (od lewej ku prawej): dr. Kunzek, dr. Piestrzyński, dr. Jan Kamiński (komendant), kapelan ks. Janiewski i dr. Zaremba



Z frontów bojowych: Obserwator artyleryi austro-węgierskiej na składanym drągu żelaznym.

tylko więcej niż fotografia, bo mamy tu dokładność soczewki plus indywidualność autora. Satyra, jak karykatura, nic nie fałszuje — podkreśla tylko wybitniejsze lub dominujące rysy rzeczywistości i ta spostrzeżona przez artystę prawda jest zawsze prawdziwsza od „wiernej" fotografii, na której prawda istotna i ważna gubi się w szczegółach podrzędnych i obojętnych.

Gdyby jednak „Satyry momentalne" — jak je pozwolę sobie nazwać — w „Grubej Bercie" zawarte, miały tylko tę własność odbić satyrycznych chwili obecnej, byłyby one jedynie dokumentem artystycznym dla potomności. Posiadają one wszakże jeszcze inną właściwość — dla nas, obecnie wbrew wysiłkom śmiercionośnej Bellony szczęśliwie żyjących, daleko cenniejszą — pogodnego ujmowania małych niedoli naszego płynącego wśród wzniosłych wrażeń wielkiej epoki pięknego teraźniejszego żywota, na które są jednocześnie skuteczną odtrutką. Znoszenie małych, a i wielkich, niedoli, jest,



Księga wesołości wojennej: Cienki autor „Grubej Berty".

JÓZEF LASOŃ.

Rycerskie sny ociemniałych.

I.

Niepodległa Polska.

Oskar siedzi nieruchomy w fotelu wybitym ciemnym aksamitem, oparłszy głowę na dłoniach. Mundur ułański, obciśle dopasowany, kąpie się w promieniach jesiennego słońca, przedzierającego się przez kryształowe szyby salonu. Wokół niego rodzina szeptem rozmawia, od czasu do czasu rzucając łzawe spojrzenia w stronę skulonego w fotelu ułana. Słyszy doskonale szepty, wyczuwa spojrzenia skierowywane w jego stronę.

— Wczoraj w nocy przywieziono go ze szpitala — przez łzy objaśnia matka siostrę swą, przybyłą z wizytą.

— Czy jest zupełnie niewidomy?

— Tak i niema nadziei... — cichym płaczem mówi matka.

Oskar zagryza wargi do krwi, czuje krew uderzającą do głowy, nerwy rozprężone. Wstrzymuje się, aby nie wybuchnąć, jest silnie rozdrażniony.

— Płacz, litość do grobu będzie mi towarzyszyć! — myśli Oskar — Dlaczego ludzie, moi najbliżsi, ciągle mi rany otwierają?

Ma ochotę wybuchnąć pod wpływem rozdrażnienia, ale się wstrzymuje.

— Któraż to godzina? — zapytuje nerwowo.

— Jedenasta!

— W dzień! — niebacznie dorzuca młodszy brat, Stefan.

— Wiem o tem — wybucha Oskar — nie potrzebujesz mi przypominać... ślepoty.

— Ależ Oskarze! — usprawiedliwia się Stefan.

— Daj pokój! — nerwowo przerywa Oskar.

— Mój drogi Oskarze — mówi matka, nachylając się nad synem — Stefan nie miał zamiaru..

Oskar milczy. Milkną również głosy obecnych, nie chcąc szeptem rozdrażniać Oskara. Słychać chód zegara, oddechy obecnych, ciężkie westchnienia Oskara zadumanego nad stołem.

— Piękny dzień! — dobiega głos rozmowy przechodniów ulicznych.

Oskar podnosi głowę i mówi:

— Chodźmy na słońce!

Usta Oskara zarysowują się bolesnym uśmiechem, wstaje powoli z fotelu, wyprostowując się. Pociągła twarz Oskara, nacechowana smutkiem, zwraca się do matki z prośbą:

— Mamciu, gdzie moja szabla?

Usiłuje s'ę uśmiechnąć do obecnych, ale jest to raczej wykrzywieniem bolesnem ust, niźli uśmiechem. Bierze z rąk matki podaną laskę i oczekuje na zebranych. Wkłada z rozmachem czapkę ułańską na głowę, stuka laską w podłogę i mówi do siostry:

— Prowadź Elo na słońce!...

Weszli w rozgwar miasta, turkot dorożek i automobilów, przeróżnych głosów przechodniów, dążących w stronę plant miejskich. Oskar prowadzony pod ramię przez siostrę, laską stuka po trotuarze, ostrożnie stawiając kroki.

— Gdzie jesteśmy? — pyta siostrę.

— Pod uniwersytem.

— Pod uniwersytetem! — głucho powtarza Oskar — Zaczekaj na chwilę... — urywa zdanie i postępuje naprzód.

— Chciałeś co? — pyta Anielka.

— Nie, nic!

— Przecież!...

— Chciałem spotkać się ze znajomymi! Zapomniałem... — uśmiecha się dobrotliwie do siostry.

Siadają na wolnej ławce, rozmawiając o rzeczach obojętnych. Rozmowa ta jest prawdziwą przyjemnością dla Oskara, zapomina o swojem kalectwie!

— Sługa uniżony! — pozdrawia ich przechodzący głos.

Oskar podnosi głowę i zwraca się do otoczenia:

— Któż to?

— Rzymski, nasz znajomy!

— Aha, przypominam sobie! Ten magnat!...

Czoło Oskara napręża się zmarszczkami, twarz posępnieje. Anielka przytuliła się silnie do brata, jak gdyby usiłowała ciepłem siostrzanego serduszka rozproszyć myśli krążące w mózgu Oskara.

— O czem myślisz, bracie? — zapytała nieśmiało.

— O. świecie! Swiat musi być dziś piękny! Czuję promienie słoneczne palące mnie, a nie widzę słońca. Słyszę gwar życia, a jestem jak skazaniec w lochu ciemnym, bez nadziei.

Kolporterzy, przebiegając obok nich, wykrzykują nazwy dzienników.

— Nadzwyczajne wydanie! Polska zmartwychwstała! — drze się malec, biegnący z dziennikami.

Oskar zrywa się z ławki i zdenerwowanym głosem krzyczy:

— Co on mówi? Polska zmartwychwstała! Chłopak, chłopak numer dziennika! Chłopak tu, numer dziennika.

Drżącą ręką wyciągnął portfel z kieszeni, usiłuje wydobyć pieniądze. Kolporter podbiegł do Oskara i podając mu numer dziennika, wykrzykuje:

— Polska zmartwychwstała! Nadzwyczajne wydanie!

Oskar, trzymając dziennik w ręce, wytęża powieki, marszcząc brwi, a twarz cała drga mu w nerwowych ruchach, zwraca się więc do siostry mówiąc:

— Elka, czytaj! Czytaj!

Przechodnie przystają na chwilę, przypatrując się Oskarowi. Drży cały, przyczem pochyla się bezwładnie na ławkę. Po chwili siostra zaczyna czytać:

— Proklamacya niepodległej Polski!

Oskar nie może się powstrzymać i wybucha płaczem. Matka i siostra uspakajają go, a on płacząc całuje ich ręce, krzycząc na cały głos:

— Niech żyje Polska!

Poczem słucha ze skupieniem słów siostry, uspokajając się powoli.

— Polska zmartwychwstała! — powtarzają jego usta z uczuciem podczas odczytywania dziennika przez siostrę.

Idąc z powrotem do domu, Oskar ożywiony rozprawiał w głos o historycznym wypadku. Zapomniał zupełnie o swojem kalectwie, twarz mu promieniała.

— Mamo, zgłaszam się do szeregów! Elciu, przygotujesz mi wyprawę! Jutro już chciałbym z domu wyjechać.

Matka nie śmie przerwać Oskarowi, boi się dotknąć wspomnieniem kalectwa, nie chce rozprószyć tej jasnej chwili w życiu kaleki.

— Ciekawym, czy mój koń jest w szwadronie? Jak mnie koledzy przywitają! O, zaczekajcie, pokażę wam fotografię mojego konia! — wyciąga portfel i nagle wybucha rozpaczą:

— Jezu, zapomniałem! Trup, trup!

— Oskar! — prosi go matka — Uspokój się! Oskar, widzisz, miej litość nademną! Bóg cię nie opuści!

Przyszedłszy do salonu, Oskar siada zmieniony w fotelu, obecni wychodzą, pozostawiając go samotnie. Tylko Anielka wciska się niepostrzeżenie w róg salonu, czuwając nad bratem.

— Polska! — szepce Oskar i zakrywa twarz dłońmi.

— Oskar! — wyrywa się z ust Anielki wykrzyknik.

— Ela! Tyś jest?

— Jestem!

— Pójdź tu!

Ela podchodzi do brata i siada obok niego. Oskar oplata ją rękami, kładzie głowę na piersiach siostry i mówi:

— Matka ma dla mnie litość i płacz, ty jedna tylko zrozumienie.

— Matka również!

— Nie!

— Szczęśliwym przecie! — mówi Oskar — Dzień dzisiejszy jest mi nagrodą za mękę moją! Nielitościwa kula ociemniła mnie w walce za Ojczyznę, która dziś zmartwychwstała. Chciałbym iść w bój za Polskę jeszcze, powrócić w szeregi żołnierskie, czy rozumiesz moje serce?

— Rozumiem twój ból!

— Tak, ból.

— Poświęciłeś przecie wszystko Ojczyźnie! Nie masz sobie nic do wyrzucenia. Stanąłeś jeden z pierwszych w szeregach Legionu, zostałeś kaleką! Dlaczego więc robisz sobie niesprawiedliwe wyrzuty?

— Rodzą się ludzie z sercami, które do ostatnich chwil swego istnienia chcą cierpieć i służyć Ojczyźnie. Człowiekowi takiemu utnijcie ręce i nogi, a bezsilny kadłub tak samo pragnąć będzie, jak zdrowe ciało. Bowiem Ojczyzna jest w sercach takich ludzi i póki serce bije, żyją!...

Oparty na ramieniu siostry wpadł w głęboką zadumę.

— Widzę! — szepnął po chwili Oskar.

— Co widzisz?

W głębokiem zamyśleniu, Oskar uśmiechał się. Twarz jego nabiera nadziemskiego wyrazu, usta coś niezrozumiale szepczą. Ela wpatruje się w twarz brata, zaniepokojona dziwnym uśmiechem i słowami.

— Oskar! — woła Ela.

Chwilę milczy.

— Oskar, słyszysz?

— Widzę! — odpowiada Oskar.

— Co widzisz?

— Polskę! Idzie do mnie w orszaku królewskim, wyciąga rękę. O patrz tam — wskazuje na kryształowe szyby — pędzi husarya nasza! To oni! To szwadron mój! Hej koledzy z wami, z wami! Ela szablę! Ela konia!

— Oskar! — płacze Ela — Uspokój się!

— Tam za Polskę! Naprzód! — zrywa się z fotelu.

Ela przytrzymuje go za ramię.

— Patrz! Widziałaś kiedyś piękniejsze słońce! O, cała tarcza słoneczna krwawa! A widzisz tam w dali husaryę? — pyta niecierpliwie Elki.

— Nie widzę!

— Biednaś! Slepa! Nie widzisz! Ten blask aż razi oczy! Nie mogę wytrzymać wprost tych promieni!

— Nie widzę! — powtarza cicho Ela.

— Do broni! — krzyczy Oskar i wyciąga ręce.

Krzyk Oskara przywołuje rodzeństwo do salonu. Matka z płaczem rzuca się na szyję syna, Stefan i Ela przytrzymują za ramiona.

— Co chcecie? Wmawialiście we mnie, żem ślepy. Bałem się podnieść powieki, popatrzeć na słońce, aby mnie jasność nie oślepiła. Litowaliście się nademną, jak nad nędzarzem, mimo, że widzę rzeczy, na które wy ślepi!

— Oskar! — uspakaja matka!

— Matko! Widzisz Polskę? — pyta Oskar nerwowo — Ot, papatrz na niebo! Huzarya polska ją chroni, królewski orszak wokoło! Widzisz matko?

— Nie!

— Slepi wy! Ja widzę sercem, a wy oczyma! Widzicie rzeczy małe, a ja przepotężne! Litujecie się nad kalectwem mojem, mimo, ze ja wam winien okazać litość! Spoglądacie na słońce w dzień, a ja w każdej porze. W świecie mojem nie ma zła, ani obłudy, żalu i rozpaczy! Jest czyn i serce! Kto nie cierpi za rzeczy duże, jest małym. Kto nie pali się na ołtarzu ofiarnym Idei — jest martwą materyą. Kto poświęca się Sprawie połowicznie, nie godzien jest stać w orszaku rycerskim Ojczyzny!

Oddycha głęboko, po chwili mówi dalej:

— Takim jestem człowiekiem i cierpię nie przez kalectwo, lecz przez bezsilność czynu. Przez ból człowiek się rodzi i uduchawia. By być człowiekiem, nie wystarcza żyć, trzeba cierpieć za wielkie rzeczy! Kto nie chce doznać cierpienia Idei, nie dotrze do człowieczeństwa. Oto do mnie mówi te słowa ojczyzna wstająca z grobu, którą wy ślepi nie widzicie! Chcę się poświęcić do ostatniego tchnienia życia, aby wypełnić obowiązki, o których mi serce powiada!

Matka w głos płacze, zakrywa twarz rękami, Ela tłumi spływające łzy po policzkach, Stefan odwraca załzawioną twarz od brata.

Z ulicy dochodzi krzyk przechodniów, podniecone głosy, żywo komentujące nadeszłe wypadki.

— Dzień dzisiejszy — głos Oskara drga rzewnością — jest dniem uzdrowienia. Błogosławię kalectwo moje, gdyż ono wskrzesiło Ojczyznę, którą ja, człowiek ociemniały — widzę! Zycie moje popłynie w snach! Błogosławię cierpienia, bo przez nie doszedłem do człowieczeństwa.

Siada przy oknie i kierując twarz do góry, mówi:

— Szczęśliwym! Widzę Polskę!

JULES CLARETIE.

TAJEMNICZY OSKARŻYCIEL.

Tłumaczyła z francuskiego: **MARYA SEGENY.**

5

— Żadnej.

— Nie było pomiędzy wami jakiegoś nagłego oziębienia, rywalizacyi może zawodowej?

— Żadnej. Jakżeby to mogło być. Nie rozumiem pana.

— Ja również nie wiele rozumiem i dlatego stawiam te pytania — odpowiedział pan Ginory.

Podczas tej rozmowy pisarz, siedzący obok przy stoliku, notował szybko każdy wyraz, każde słowo.

Słowa „zadaję pytania" uczyniły pewne wrażenie na Jerzym Montin. Twarz jego przybrała wyraz niezadowolenia i brwi jego ściągnęły się groźnie.

— Kiedy był pan po raz ostatni u pana Rovere — badał dalej sędzia.

— Po raz ostatni?

— Tak. Niech pan stara się przypomnieć.

— Na dwa lub trzy dni przed dokonaniem zbrodni.

— To nie dwa lub trzy dni, lecz dwa dni z wszelką pewnością — odparł trochę szorstko p. Ginory. — Dwa dni przed zbrodnią.

— Ma pan słuszność — odpowiedział spokojnie Jerzy Montin. — Przepraszam pana.

Pan Ginory milczał chwilę, wpatrując się silnie w człowieka, siedzącego naprzeciw niego.

Zdawało mu się, że twarz jego blada zaróżowiła się lekko.

— Czy nie podejrzywa pan nikogo o zamordowanie pana Rovere? — zapytał wolno sędzia, badawczym wzrokiem obejmując Jerzego Montin.

— Nikogo. Gubię się w domysłach.

— Czy Rovere miał nieprzyjaciół?

— Nie znałem ich.

— Czy pana co nie uderzało w zachowaniu się przyjaciela podczas ostatniego widzenia się z nim?

— Nic.

— Bo przecież przypuszczenie samobójstwa z jego strony zostało natychmiast odparte po zbadaniu zadanej rany. Mamy pewność niezaprzeczalną, że został zamordowanym. Ale przez kogo? Czy w ostatniej rozmowie z panem nie zdradził jakiego przeczucia, niepokoju? Czy może umysł jego zajęty był jakąś szczególną sprawą? Może wiedział, przeczuwał, że się dzieje wokoło niego coś zagrażającego jego bezpieczeństwu?

— Nie — odpowiedział Montin. — Rovere najmniejszej wzmianki w tym kierunku mi nie uczynił i nie mówił, aby cośkolwiek grozić mu mogło. Naprawdę nie wiem, komu zależećby mogło na jego śmierci. Musiano go zamordować w celu rabunku.

— To przypuszczenie wydawało mi się w pierwszej chwili dosyć prawdopodobne, ale śledztwo, odbyte w mieszkaniu, nie wykazało nic podobnego, żadnego uszkodzenia. A więc kradzież nie mogła być motywem zbrodni.

— Więc co? — rzucił niecierpliwym trochę tonem Jerzy Montin.

Pełna twarz sędziego rozjaśniła się, powstrzymywana ironią i złośliwością.

— Zdaje mi się — odrzekł wolno, cedząc słowa — żeśmy się tu zebrali właśnie dlatego, aby to „co" odkryć!

W spokojnym głosie pana Ginory brzmiał odcień lekkiej groźby. Odczuł ją pisarz, spisujący protokół, bo podniósł głowę z nad papierów i ciekawie spojrzał na mówiącego.

— Jeszcze mi pan nie wyjaśnił — podjął po chwili sędzia — co działo się pomiędzy wami podczas tego ostatniego spotkania.

— Nic takiego — odpowiedział Montin — coby władze popchnąć mogło na jakikolwiek ślad.

— Jednakże może pan, a właściwie powinien, szczegółowo objaśnić mnie, co tam wówczas było mówione i robione. Najdrobniejszy szczegół może być pomocnym do rozświetlenia sprawy.

— Rovere mówił ze mną o rzeczach osobistych — odparł Montin z wyrazem jakiejś zuchwałości w twarzy — rzeczach dla pana małoważnych.

— Jakież to są te rzeczy małoważne?

— Wspomnienia, sprawy familijne.

— Sprawy familijne nie są nigdy nieznaczące w podobnych wypadkach. A więc widzę z tego, że Rovere posiadał jeszcze jakąś rodzinę, a żaden z jego krewnych nie asystował, o ile wiem, pogrzebowi.

Montin zdawał się być silnie zmieszanym i widocznie zdenerwowanym.

— Chodziło o przeszłość — wyrzekł wkońcu krótko, prawie brutalnie.

— O jaką przeszłość? — zapytał sędzia nalegająco.

— Wspomnienia młodości, moralne zobowiązania zaciągnięte niegdyś.

Pan Ginory oparł się o poręcz fotelu i, patrząc ironicznie na mówiącego, wyrzekł zgryźliwie:

— Radziłbym panu dawać mi szersze wyjaśnienia i nie czynić z zeznań, do których pana wezwałem, tajemnicy. Niejasność słów pańskich jest dla mnie niezrozumiałą. Zobowiązania moralne! To dużo i niewiele. Cóż więc takiego ciążyło na przeszłości pana Rovere?

Montin zawahał się, poczem odpowiedział stanowczym głosem:

— To, o czem myślę, panie sędzio, to tajemnica, którą powierzył mi mój przyjaciel, a ponieważ nie dotyczy w niczem sprawy, o której mówimy i nie może mieć żadnego wpływu na dalsze śledztwo. Pozwoli pan, że ją zachowam dla siebie. Wiem, że to będzie zgodne z wolą zmarłego.

— Przepraszam pana — zaoponował pan Ginory. — Niema i nie może być tajemnicy dla sędziego śledczego, zadającego pytania. Przez wzgląd na pana Rovere, którego wspomnienie pozostanie między ludźmi, tak jest. przez wzgląd na pamięć pańskiego przyjaciela i dla pana także, jest koniecznem, aby pan dokładniej określił swoje myśli, dotąd bardzo niejasno wyrażone. Mówi pan o jakiejś tajemnicy, otóż ja ją poznać muszę!

— Jest to zwierzenie zmarłego! — zawołał Montin drżącym głosem.

— Niema już teraz żadnych zwierzeń osobistych ani tajemnic, nie mogących być publicznie znanemi. Dla sprawiedliwości niema i nie może być coś ukrytego.

— Ale jeżeli jest to równocześnie tajemnicą osoby żyjącej? — zapytał poważnie Jerzy Montin.

— Czy o sobie pan chce mówić? — odparł żywo pan Ginory, nie spuszczając z oka energicznej, pobladłej twarzy przeciwnika, którego czarne oczy błyszczały powstrzymywanym gniewem.

— Nie, nie mówię o sobie — odpowiedział Montin — ale o kim innym.

— Kto to jest?

— Nie mogę tego panu powiedzieć.

— Nie może pan?

— Absolutnie nie mogę.

— Panie Montin! Mam prawo zapytać pana, dlaczego?

— Bo poprzysiągłem na honor nie wyjawić nigdy i nikomu tego, o co mnie pan zapytuje.

— Ah! Ah! — syknął ironicznie Ginory — Więc i przysięgę mamy wmieszaną w to wszystko. To doskonale.

— Tak, panie sędzio, jest przysięga dana.

— Komu?

— Roverowi.

— Którego już niema i który pana z niej zwolnić nie może. Rozumiem teraz wszystko doskonale!

— I cóż takiego pan rozumie? — zapytał żywo Jerzy Montin, marszcząc czoło — Niech pan odpowie, panie sędzio. Cóż pan teraz rozumie?

— Przepraszam pana! — odparł Ginory zimno — Ale pan się tu nie znajduje w celu zadawania pytań, ale odpowiadania na moje. Jest rzeczą niezaprzeczoną, że słowo, dane osobie już nieżyjącej, jest doskonałym środkiem obronnym, ale oskarżeni, przez częste używanie tego środka, uczynili go banalnym i bezużytecznym.

Montin wyprostował się i dumnem spojrzeniem objął sędziego. Wargi jego drżały nerwowo.

— Oskarżeni? — rzekł stłumionym głosem — Oskarżeni? Zdaje mi się, że się pan w ten sposób wyraził, panie sędzio?

— Nie myli się pan.

— Co to ma znaczyć? Czyż i mnie zalicza pan do rzędu tych „oskarżonych"?

— Nie, tego jeszcze nie powiedziałem. — wyrzekł bardzo spokojnie pan Ginory — Mówię, że chce pan koniecznie zachować dla siebie tajemnicę, a ja wcale tego uznać nie zamierzam. Czy mnie pan dobrze zrozumiał, panie Montin?

— Doskonale, ale powtarzam panu raz jeszcze, że ta tajemnica nie należy do mnie.

— A ja panu powtarzam, że tu, w tym pokoju, w tych okolicznościach o czemś podobnem nawet mowy być nie może. Stała się zbrodnia, winny musi być odnaleziony, a to, co panu wiadomo, jest obowiązkiem pana wyjawić.

— Ale, jeżeli zaręczę panu słowem honoru, że to nie ma żadnego związku z zamordowaniem pana Rovere — żadnego, przysięgam panu...

— To powiem mojemu pisarzowi, aby dosłownie spisał tę odpowiedź pana — i dalej badać pana będę choćby dla tej przyczyny, że odpowiedzi pana nie zadawalniają mnie, że pan mówi o jakiejś tajemnicy, zawierzonej panu, i nie chce jej wyjawić... Bo jej pan wyjawić nie chce. pod żadnym warunkiem — nieprawdaż?

— Pod żadnym.

— Pomimo tego, co panu przed chwilą powiedziałem?

— Pomimo!

— To jest ostrzeżenie, panie Montin! Czy pan sobie z tego zdaje sprawę?

— Owszem, zdaję sobie sprawę i odmawiam odpowiedzi! — rzekł Montin stanowczym i wyzywającym tonem.

— Niech się pan strzeże! Wyrzekł pan bardzo niebezpieczne dla siebie słowa! — zauważył szeptem prawie pan Ginory, którego krwista twarz pobladła lekko.

Pisarz, będący świadkiem tej szermierki słów, podniósł głowę i wpatrywał się ciekawie w obydwu mężczyzn.

Wiedział, że waży się tu teraz coś stanowczego i niedowołalnego. Wzrok sędziego zdawał się przenikać, jak ostrzem ze stali, twarz Jerzego Montin, który z głową do góry wzniesioną zdawał się go wyzywać.

Na koniec Ginory powolnym głosem podjął znowu:

— Czy przypomina pan sobie, że dozorczyni domu przy bulwarze Clichy widziała pana w mieszkaniu pana Rovere wówczas, kiedy pan wraz z nim stał przed otwartą kasą ogniotrwałą i przeglądał papiery wartościowe?

Montin nie odpowiedział natychmiast, jak gdyby ważył w duchu każde słowo i rozumiał ich wartość i zastanawiał się nad znaczeniem zapytania, nie wiedząc jeszcze, do jakich granic sędzia badanie swoje posunąć może.

To milczenie, nad którem ciążyło tyle ważnych i niepokojących myśli, miało w sobie coś tragicznego.

Pan Ginory znał dobrze tę chwilę, kiedy to oskarżony czuje się zewsząd opasanym coraz silniej zaciągającem się kołem pytań krzyżowych i niebezpiecznych dla niego. Jest w nim obłędny przestrach ściganej zwierzyny, upadającej już z bezsilności.

— Przypominam sobie rzeczywiście — przemówił wkońcu z widocznym trudem Jerzy Montin — że widziałem wchodzącą do pokoju mojego przyjaciela osobę, nie znaną mi wcale.

— Osobę, której pan nie znał wcale? Zdaje mi się, że się pan myli.

— Panie sędzio!...

— Osobę tą pan znał, bo kilkakrotnie pytał się jej pan, czy pan Rovere jest u siebie na górze. Tą osobą jest pani Moniche, której zeznanie formalne mam tu pod ręką.

— I cóż opiewa to formalne zeznanie pani Moniche? — zapytał drwiąco Jerzy Montin.

Pan Ginory podjął jakiś papier z biurka i czytać zaczął:

— „Kiedy weszłam do pokoju, pan Rovere stał przed swoją kasą i zauważyłam, że nieznajomy, o którym mówiłam (pani Moniche nie wyraża się inaczej o panu) rzucał na papiery wartościowe, rozrzucone po szufladach, wzrok tak dziwny, że aż zadrżałam cała. Pomyślałam sobie wówczas: „Ten to napewno zamyśla uczynić coś złego"...

— To znaczy — przerwał gwałtownie Jerzy Montin, po którego twarzy przebiegały skurcze powstrzymywanego gniewu — że ta pani Moniche gotowa jest mnie oskarżyć o zamordowanie pana Rovere.

— Ho! Ho! Jakże pan galopuje, panie Montin! Pani Moniche jeszcze nic stanowczego w tym względzie nie wypowiedziała. Była tylko zadziwioną — zadziwioną i przestraszoną wyrazem pana spojrzenia, rzuconego na obligacye leżące w kasie.

— Czy te obligacye zostały skradzione? — zapytał niespokojnie Montin.

— Ah! O tem jeszcze nic nie wiemy! — odparł, uśmiechając się, pan Ginory.

— Przecież panowie musieliście przeszukiwać mieszkanie, przeglądać kasę?

— Tak jest! Znaleziono w kasie pana Rovere około czterech kroć sto tysięcy franków w obligacyach miasta Paryża, akcyach kopalnianych i tym podobnych, ale to jeszcze nie obala przypuszczenia, że mogło ich tam być więcej przed dokonaniem zbrodni.

— Czy zamek kasy był uszkodzony?

(Ciąg dalszy nastąpi)

Piąta pożyczka wojenna w Austryi.

Jedynie na pozór prowadzi się wojnę pieniądzmi. W istocie rzeczy prowadzi ją państwo pracą swych obywateli, wytężeniem wszystkich ich sił finansowych i duchowych, wszystkimi środkami produkcyi, plonami ziemi i wytworami przemysłu. W zasadzie możliwa jest kombinacya tego rodzaju, iżby państwo nakładało na rolnictwo i przemysły obowiązek bezpłatnego ofiarowania na cele prowadzenia wojny produktów roli i fabryk, zwalniając się przez to od konieczności obciążania siebie długami, jednak krok tego rodzaju byłby równoznacznym z unieruchomieniem na czas wojny głównych źródeł dochodu gospodarstwa społecznego, usunięciem poza nawias najważniejszej sprężyny działania ludzkiego, której na imię — zysk.

Dlatego też państwo za wszystko, czego mu do prowadzenia wojny potrzeba, płaci, a płacąc, zmuszone jest co pewien czas apelować do kredytu. Wprawdzie mogłoby państwo dostawcom swym uiszczać zapłatę wprost w papierach pożyczki wojennej, co miałoby również tę dobrą stronę, iż ci, którzy na państwie zarobili, musieliby przymusowo w stosunku do swych zysków brać udział w ogólnej akcyi kredytowej państwa. Jednak krok ten byłby przymusem, a państwo pod żadnym warunkiem nie chce budzić choćby cienia tylko wrażenia, jakoby pożyczka wojenna była pożyczką przymusową. Ponieważ jednak państwo starannie unika stosowania przymusu, słuszną jest rzeczą, iżby tem większy był nacisk moralny przedewszystkiem na tych, którzy pod jakąkolwiek postacią ciągną z wojny zyski i to zyski częstokroć bardzo poważne. Niemniej jednak i te warstwy ludności, o ile tylko rozporządzają jakąkolwiek gotówką, nie powinny pozostawać na uboczu, ponieważ i one muszą pamiętać, że wojna, jaką monarchia prowadzi, jest wojną obronną i że pieniądze z pożyczki uzyskane, przeznaczone są na utrzymanie i zaopatrywanie w środki obronne tych, którzy z heroizmem bronią w polu państwa przed zniszczeniem. Na przekonywanie, iż pożyczka wojenna stanowi pierwszorzędną lokatę gotówki, że zwrot kapitału i odsetek jest najzupełniej pewny, nie potrzeba chyba tracić wielu słów. Z mocy posiadania pełni władzy ustawodawczej, rozporządza państwo wszelkimi środkami produkcyi swych obywateli i zawsze będzie w stanie wydobyć pokrycie dla swych pożyczek z ogólnego przychodu społeczeństwa.

Przy piątej pożyczce wojennej zatrzymał rząd podwójny typ, jaki widzieliśmy już przy czwartej pożyczce i subskrybenci mają wybór między krótkoterminowymi bonami skarbowymi a 40-letniemi obligacyami. Próba powrotu do pożyczek skonsolidowanych powiodła się znakomicie przy czwartej pożyczce wojennej: na długoterminową pożyczkę wojenną subskrybowano bowiem 2365 milionów, podczas gdy na bony skarbowe 2155 milionów koron.

Jeszcze bardziej znamiennym jest fakt, że na 40-letnie obligacye pożyczki wojennej padło poszczególnych subskrypcyi aż 530 000, podczas gdy na bony skarbowe subskrybowało jedynie 143 000 osób. Okoliczność ta stanowi więc dowód, iż szerokie masy społeczeństwa nie znajdują już upodobania w pożyczkach krótkoterminowych, lecz raczej dają pierwszeństwo temu typowi lokaty, który zapewnia im wysokie odsetki na możliwie długi szereg lat.

Piąta pożyczka wojenna pojawia się na targu finansowym pod korzystnemi auspicyami. Sytuacya wojenna jest tego rodzaju, iż z pełną ufnością oczekiwać można dalszego rozwoju wypadków. Wszak nawet wystąpienie Rumunii nie zdołało sprowadzić zmiany na frontach bojowych. A ponadto nadzwyczaj korzystnym dla pożyczki momentem jest ogromna ilość płynnej gotówki na rynkach państwa. Szybka wymiana dóbr w wojnie prowadzi zawsze do potężnego gromadzenia się pieniądza, która to okoliczność stanowiłaby ogromny kłopot dla instytucyi finansowych, gdyby od czasu do czasu nadwyżka pieniądza nie znajdowała ujścia w pożyczce wojennej.

Jeśli udział w pożyczce wojennej pójdzie w parze z ilością wolnych obecnie kapitałów, wówczas sukces końcowy znowu będzie wielki, stanowiąc zarazem dowód, iż w trzecim roku wojny siła woli monarchii i dążność do wywalczenia sobie lepszych warunków bytu jest niewzruszoną.

Z tygodnia.

Legiony w Królestwie Polskiem.

W sprawie rozmieszczenia poszczególnych pułków Legionów polskich na obszarze Królestwa Polskiego pisma donoszą, iż siedzibą pierwszej brygady Legionów będzie Łomże, drugiej i trzeciej Warszawa. Pierwszy pułk piechoty umieszczony będzie w Łomży, drugi w Rożanach, trzeci w Warszawie, czwarty w Modlinie, piąty w Pułtusku, szósty w Nałęczowie. Pierwszy pułk konnicy w Ostrołęce, drugi w Nowomińsku; z artyleryi pierwsza i druga baterya w Górze Kalwaryi, trzecia i czwarta w Grajewie, baterya haubic w Pułtusku, kompania techniczna i saperska w Modlinie.

Dnia 29. lub 30. zeszłego miesiąca przybyła do Warszawy druga brygada, z której pułk trzeci pozostaje w Warszawie na stałe, zaś czwarty w pełnym rynsztunku bojowym przemaszerował przez miasto, udając się do Modlina.

Jak donoszą z Warszawy, z dniem 1. stycznia 1917 r. przechodzą Legiony polskie jako część składowa armii polskiej na etat niemiecki.

Jak donosi „Lodzer Ztg.", wojskowy gubernator łódzki generał porucznik Barth zamianowany został inspektorem polskich obozów ćwiczeń. W obozach tych odbywać się będzie kształcenie powstającej armii polskiej, pod okiem generała Bartha.

Powitanie Legionistów w Warszawie.

Powitanie Legionistów w Warszawie odbyło się bardzo uroczyście. Niezliczone tłumy wyszły na ich spotkanie, a przy bramie tryumfalnej, wzniesionej na cześć Legionistów, pierwszy przemówił rektor Brudziński następującemi słowy:

„Panie komendancie! Kochany dowódco! Polscy żołnierze! Wita was dziś stolica, która po raz pierwszy od roku 1831 patrzy na zastępy wojsk polskich. Wita was ze wzruszeniem i dumą, gdyż zna już was z rozgłosu, któryście sobie zdobyli na polu walki. Witamy was, bohaterskie kadry, które mają utworzyć wojsko polskie dla państwa polskiego. Witamy was, ucieleśnienie naszych tradycyjnych walk o wolność i niezawisłość naszej ojczyzny. Czcimy pamięć waszych poległych towarzyszy. Cześć i sława wam. zasłużony dowódco i waleczni żołnierze!

Dla narodu jesteście nie tylko zbrojnem ramieniem, lecz także prawzorem karności i zgody, źródłem wiary w szczęśliwą przyszłość ojczyzny. Witajcie, zagrzejcie się przy sercach waszych rodaków! Zbliża się czas, kiedy powitamy was na zawsze w królewskiej stolicy i kiedy wy na zawsze wykonywać będziecie straż nad Wisłą. Niech wam Bóg dopomoże!"

Komendant Legionów polskich, hr. Szeptycki, odpowiedział na to imieniem Legionów:

„Dziękuję serdecznie za przyjęcie. Wiodę oddziały wszystkich pułków. Wkracza drugi pułk ułanów, który zwłaszcza koło Rokitny się odznaczył, trzeci pułk piechoty brygady karpackiej, znanej jako Żelazna Brygada i znany historyczny pułk czwarty, który odznaczył się we wszystkich bitwach. Dziś nadszedł wielki dzień dla armii polskiej, wchodzącej do Warszawy. Pod wrażeniem odgłosu kroków piechoty i podków koni żywiej uderzą serca polskie i synowie Polski przystąpią do czynu, aby nam dać ojczyznę. Wkraczają, jako synowie narodu. Niech żyje Polska! Niech żyje Warszawa!"

W miejscu, gdzie Nowy Swiat krzyżuje się z Aleją 3. Maja, zatrzymał się gubernator Warszawy, Etzdorf i powitał komendanta Legionów hr. Szeptyckiego przemową, poczem obaj na czele wojsk wjechali do miasta przez Nowy Swiat na Plac Saski. Tam generał-gubernator Beseler, który przybył na koniu, donośnym głosem wypowiedział następującą przemowę do wojska, którą hr. Szeptycki powtórzył w języku polskim:

„Towarzysze! Witam was z serca w stolicy waszej ojczyzny, do której oswobodzenia dopomogła wasza waleczność. Z radością witają was wasi rodacy. My wam podajemy dłoń jako wierni towarzysze. Z waszych walecznych szeregów powstanie z pewnością niebawem polskie wojsko, które będzie osłaniało i strzegło waszej ojczyzny. Cieszyć się będziemy, że możemy ramię przy ramieniu dalej z wami walczyć. Wolne Królestwo Polskie hurra!"

Wojsko i zgromadzena publiczność podjęła z radością okrzyk: „Wolne Królestwo Polskie niech żyje!", a równocześnie z pod bram katedry, gdzie stała niemiecka muzyka gubernialna, rozległy się na obszernym placu dźwięki hymnu: „Boże coś Polskę..."

Otwarcie Urzędu żywnościowego.

Utworzony rozporządzeniem całego gabinetu z dnia 13. listopada bieżącego roku Urząd dla wyżywienia ludności rozpoczął swą czynność z dniem 1. grudnia bieżącego roku. Równocześnie istniejący w ministerstwie spraw wewnętrznych Urząd aprowizacyjny wstrzymał swoją działalność.

Statut nowego urzędu obejmuje pięć paragrafów.

§ 1 opiewa, że kierownictwo urzędu przysługuje prezydentowi, w jego zastępstwie pierwszemu, względnie drugiemu wiceprezydentowi. Prezydent wydaje rozporządzenia w swoim zakresie działania, decyduje z własnej mocy i nie jest zależnym od zgody urzędów centralnych. Urząd komunikuje się bezpośrednio z wszystkiemi władzami i urzędami państwowymi i autonomicznymi.

§ 2 ustanawia dyrekcyę, dodaną prezydentowi, a składającą się z obu wiceprezydentów i co najmniej siedmiu członków, mianowanych przez prezydenta ministrów.

§ 3 ustanawia jako organ, pośredniczący między urzędem a ludnością, radę dla wyżywienia, składającą się przynajmniej z czterdziestu członków. Istniejąca Rada przyboczna aprowizacyjna przechodzi w ramy nowego urzędu.

§ 4 daje prezydentowi prawo opiniowania, jakoteż opracowania kwestyi aprowizacyjnej, powoływania, według potrzeby, do współpracy rzeczoznawców z poza urzędu.

§ 5 reguluje przydzielenie odpowiedniej liczby czynnych urzędników państwowych i innych funkcyonaryuszy państwowych, czego dokonuje prezydent ministrów w porozumieniu z dotyczącemi ministerstwami.

Na stanowisko wiceprezydenta Urzędu wyżywienia ludności powołany został radca dworu w ministerstwie spraw wewnętrznych August bar. Fries. Do dyrekcyi należą posłowie do Rady państwa Fink i dr. Freissler, radca rządu dr. Hotovec, przemysłowiec Kupfer, właściciel dóbr dr. Aleksander Raczyński, poseł do Rady państwa dr. Rennel i c. i k. pułkownik korpusu sztabu generalnego Walenstorfer.

Punkt ciężkości działania Urzędu będzie przedewszystkiem leżał na polu rozdziału środków żywności. W tym względzie chodzi głównie o rzeczy następujące: O ujęcie zapasów, by je udostępnić ludności, zapobieżenie ukrywaniu zapasów, czy to z obawy, czy też w celach spekulacyjnych, planowy rozdział wogóle na miejscu konsumcyi, gdzie panuje zapotrzebowanie i sprawiedliwe rozdzielenie między konsumentów, techniczna poprawa aparatu rozdziału, wkońcu odpowiednie uregulowanie cen, które nie mogą być wyższe, aniżeli to usprawiedliwione jest kosztami produkcyi. Zyski pośrednie muszą być ograniczone, podbijanie cen i lichwa będą jak najenergiczniej zwalczane.

Do P. T. Czytelników!

Przed wybuchem wojny światowej w r. 1914 rozpoczęliśmy w „Nowościach illustrowanych“ druk wybornej powieści znakomitego naszego pisarza, **A. Gruszeckiego**, p. t.

„Po ślubie“.

Niestety, z powodów od nas niezależnych, druk jej zmuszeni byliśmy przerwać, obecnie też, gdy okazała się w wytwornem wydaniu książkowem, chcąc P. T. Prenumeratorom naszym ułatwić jej nabycie, weszliśmy z wydawcą w układ — na mocy którego Administracya „Nowości illustrowanych“ sprzedawać będzie zgłaszającym się książkę p. t.

„Po ślubie“

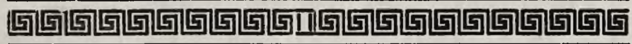
po zniżonej cenie 4 korony, zamiast ceny księgarskiej **Kor. 5·20.** Na koszta poleconej przesyłki, gdyż tylko za takową przyjmuje Administracya odpowiedzialność, należy przesłać ponadto 50 halerzy.

Zamówienia na powieść **A. Gruszeckiego** p. t.

„Po ślubie“

kierować należy do **Administracyi „Nowości illustrowanych“, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego 95.**

Wysyłka tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości w gotówce lub znaczkach pocztowych.



Kronika tygodniowa.

Na mój kronikarski poniedziałek przypadła akurat uroczystość świętej Barbary, patronki górników i artyleryi, oraz i pogody, według bowiem opinii ojców naszych, jeśli Barbara po lodzie, Boże Narodzenie po wodzie i odwrotnie. Niestety, w ostatnich kilku latach przepowiednia ta stale zawodziła, a dziś mamy taką pogodę, która nie jest ani deszczem, ani mrozem, wniosków więc na przyszłość wysnuwać nie możemy. Nazwać możnaby ją niezdecydowaną i narzekać na nią wraz z saneczkarzami, którzy nie mogą się doczekać na przyjemności polskiej zimy, zostającej od dłuższego już czasu pod znakiem mgły, prawdziwie londyńskiej i oryginalnego galicyjskiego błota.

Niezdecydowaną jest ona w samej rzeczy, ale też odpowiada najzupełniej naszemu usposobieniu, które stało się, być może dzięki wojnie, jeszcze bardziej niezdecydowanem.

Dowodem tego obchód uroczysty ku czci Sienkiewicza, zapowiedziany na dzień wczorajszy, to jest niedzielę. Czytając zapowiedź owej akademii, która miała się odbyć w miejskim Teatrze, byłem pewny, że cały Kraków, te polskie Ateny, pospieszy, by choć w ten sposób uczcić wielkiego mistrza słowa i obywatela w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu. Ale zawiodłem się! Pokazało się, że Kraków to nie Ateny, ale zwykła sobie Wielka Pipidówka... Na sali znalazło się zaledwie kilkadziesiąt osób i to przeważnie takich, które przybyć musiały, reszta Krakowian paradowała wówczas po linii A B i przygotowywała się na popołudnie... do kina! Duchowieństwo świeciło dobrym przykładem, przybyło go bowiem sporo, sfery literacko-artystyczne nie dopisały, mieszczaństwo poszło zaś na tradycyjne flaczki, więc na wzięcie udziału czasu nie miało!

Każdy sobie zapewne tłumaczył: „Poco ja tam mam się pchać, skoro będą inni?“... I stało się zupełnie tak, jak w pewnem galicyjskiem miasteczku, w którem rabin-cudotwórca urządzał wesele swej wnuczki. Istnieje zwyczaj, że w dniu tak uroczystym każdy z jego parafian spieszy z prezentem, na jaki go stać. Najbiedniejsi przynoszą bodaj flaszkę wina. Ze względu na ten zwyczaj, kazał rabin przygotować wielką beczkę i do niej ofiarodawcy wlewali zawartość butelek. Znalazł się jednak przemyślny pewien jegomość, który powiedział sobie że szkoda wydawać na wino pieniądze i pospieszył z flaszką... pełną wody. Inni przynoszą wino — tak sobie tłumaczył — moja woda w niem zginie i rabin, choć taki mądry człowiek, tego nie pozna.

Ale tak, jak on, myśleli i inni obywatele i na weselu stał się cud!... Beczka była pełna, ale czystej wody...

Coś podobnego miało miejsce i wczoraj w Krakowie. Jeden i drugi mówił sobie: „Choć ja nie pójdę, pójdą inni!“... I ostatecznie nikt nie poszedł. Jeśli duch Sienkiewicza, ciekawy, jak też Kraków uczci jego pamięć, unosił się wówczas na sali, musiał przyjść do przekonania, że szkoda było pracować dla tak wdzięcznych współobywateli.

Winę jednak ponosi i Komitet urządzający. Zamiast wzniosłych i pełnych polotu słów dyrektora Grzymały-Siedleckiego, zamiast recytacyi najcelniejszych ustępów z dzieł zgasłego autora, należało zapowiedzieć przedstawienie kinematograficzne, popisy gimnastyków, spinanie się po drągu, na którym zawieszone są nagrody, wreszcie wyjątki z jakiej bezsensowej operetki, a z pewnością wielu obywateli rozszerzonego serca Polski byłoby od kasy teatralnej odeszło z powodu braku biletów.

Bo trzeba znać gust Krakowian, którzy słyną z tego, że umieją należycie ocenić, co piękne i wzniosłe i szlachetne... Jeden jedyny punkt programu, „Zagłoba na weselu“, odpowiadał nastrojowi, panującemu obecnie w naszem mieście.

W tej kwestyi interpelowałem w poniedziałek jednego z panów radców (tak go przynajmniej ludzie przezywają, więc albo nim jest rzeczywiście, albo był, lub też będzie) Człek to i *bene natus* i *possessionatus*, lubi nadto pozować na mecenasa sztuki, o ile go to jednak nic nie kosztuje.

— Radca dobrodziej — pytałem — był zapewne wczoraj w Teatrze miejskim na uroczystej akademii ku czci Sienkiewicza?

— Ani mi się śni! — odparł dobrodusznie. — Kto to widział, panie kochany, urządzać taki obchód w niedzielę i to do tego w samo południe? Kiedyż człowiek ma pójść na flaczki, na które czekał cały tydzień?

— Przed obchodem, lub po nim, jeśli radca bez flaków obejść się nie może!

— Dobrze to panu tak mówić!... Przed obchodem nie mam czasu, gdyż w niedzielę śpię z zasady dłużej. Bodaj w niedzielę musi człowiek wypocząć i wyciągnąć stare, spracowane kości. Po obchodzie znów późno, tymczasem inni zjedzą mi flaki i nic dla mnie nie zostanie. Zresztą program...

— Program bardzo piękny!

— Być może dla pana, ale nie dla mnie. Życie jest smutne, ja chcę widzieć i słyszeć coś wesołego, rozweselić się, uśmiać!... Jeśli płacę, chcę wiedzieć za co. Teraz ciężkie czasy, więc na „bele co“ pieniędzy wydawać się nie powinno. Ostatecznie nie byłbym miał nic przeciw temu, gdyby była poszła żona i córki. Byłbym im dał nawet pieniądze na bilety. Ale trudno! Kobiety muszą iść w niedzielę na „dwunastówkę“ do Panny Maryi, a potem na przechadzkę. Żona ma nowy kapelusz, córki nowe żakiety, więc muszą się ludziom pokazać...

Nie słuchałem dłużej, pożegnałem „czcigodnego“ radcę i pomyślałem sobie, że takich ananasów, jak on, moglibyśmy liczyć w Krakowie nie na tuziny i kopy, ale na tysiące, słuszniejszem więc byłoby nazwanie naszego miasta polską Abderą, a nie Atenami i samego mnie doprawdy wstyd, że i ja jestem Krakowianinem z krwi i kości, choć, przynajmniej dotąd, inaczej myślę i czuję, niż ów pan, o którym wyżej była mowa. Ale i ja się może odmienię, gdy zostanę kiedyś panem radcą, choćby tylko tytularnym. Już dziś tak mnie nazywa mój nadworny golibroda.

Warto przecież byłoby spróbować, czy nie dałoby się wpłynąć w jakiś sposób na zmianę usposobienia mieszkańców Krakusowego grodu. Ja znam jeden, ale nie wiem, czyby się udał i czy byłby skutek. Należałoby naprzykład ogłosić: „Jutro odbędzie się uroczysta akademia ku uczczeniu pamięci Sienkiewicza. Magistrat miasta zakazuje mieszkańcom pojawić się na sali. Niestosujący się do niniejszego rozporządzenia, ulegną dotkliwym karom“... Jestem pewny, że podobne ogłoszenie miałoby ten skutek, iż już o dziewiątej rano tłumy publiczności gniotłyby się u wejścia. Wnoszę tak z okoliczności, iż krakowska publiczność dopiero od chwili przybicia na ulicach tabliczek z napisem: „Iść lewą stroną!“, chodzi z zasady prawą i całkiem jej z tem dobrze, a biada temu, ktoby się chciał do wezwania zastosować. Zostanie zgnieciony, wyszturkany, zdeptany...

Ponieważ zacząłem od świętej Barbary, muszę też dopuścić do głosu i świętych płci męskiej, więc przedewszystkiem świętego Andrzeja, który jest znów patronem od lania, ale tylko wosku i ołowiu. Obu tych artykułów brak w tym roku, zostały bowiem zarekwirowane na potrzeby armii, mimo to przecież tu i ówdzie lano, a prawie każdemu, kogo interpelowałem, ulało się coś, co go ominęło przypomina... figę. (Przysmak obecnie bardzo cenny, sztuka dochodzi do dwudziestu centów.) Ale figa, to coś u nas bardzo zwykłego, mieliśmy się czas do niej przyzwyczaić.

Oprócz owej figi ulało się nam także moratoryum na dalszych sześć miesięcy, z czego znów niezadowoleni są ogromnie zwłaszcza panowie mecenasi, *vulgo* kauzyperdzi, narzekający boleśnie na bezrobocie i grożący nawet strejkiem, jeśli to już raz się nie skończy. Ludziska aż się rwą do procesów, a tu nic! Jeden z mecenasów zapewniał mnie, że, jeżeli tak dalej pójdzie, zamknie budę i powędruje do rowów strzeleckich. Tam mu przynajmniej dadzą jeść. Wolałby wprawdzie siedzieć w „*Hinterlandzie*“, ale tam się wszyscy nie zmieszczą.

Po świętym Andrzeju kolej na świętego Mikołaja, o którym wiemy, że lubi przynosić prezenty. Czy przyniesie co i tego roku, tego nie umiem po wiedzieć, zależy to bowiem przedewszystkiem od okoliczności, czy otrzyma pozwolenie na pobyt w twierdzy. Ze wszystkich podarków najprzyjemniejszym byłby taki, by wojna się już skończyła i to zaraz, a moratoryum trwało wiecznie. Zrujnowałoby to może kapitalistów, ale ogół, jestem tego pewny, byłby zadowolony. We środę rano zaglądnę pod poduszkę, czy tam niema jakiegoś prezentu. W ubiegłym roku otrzymałem parę pantofli, przypuszczam jednak, że nie był to dar świętego Mikołaja, lecz mej zacnej Weroniki, która w ten symboliczny sposób chciała mi dać do poznania, za co mnie uważa. Ja jej się tego roku zrewanżuję i podłożę jej... „Grubą Bertę“, nie żelazną jednak, ale papierową, wydaną świeżo przez pana Stefana Nowińskiego. Obraz tytułowy bardzo do niej podobny, podarunek powinien ją więc ucieszyć, zwłaszcza, że i treść książeczki jest bardzo pouczająca i na czasie.

Jeśliby zawiódł i święty Mikołaj (co się zdarza!...) czekam na „Gwiazdkę“. Choinek wprawdzie nie będzie, świeczek na nich także, podarunki przecież, kogo na to stać, można ofiarowywać przyjaciołom i znajomym, a myślę, że nikt nie będzie takim paskudziarzem, by daru nie przyjął. O ile mnie to dotyczy, chętnie zadowolnię się czemkolwiek, bo to teraz ciężkie czasy i przebierać się nie powinno. Zawiadamiam więc Szanownych Czytelników i Przezacne Czytelniczki, iż przyjmuję gwiazdkowe podarunki w stanie stałym i płynnym (lotny wykluczony!) bez względu na wartość. Rozumiem to w ten sposób, iż im dar więcej wartościowy, tem pożądańszy, bezwartościowe natomiast nie mogłyby być w żaden sposób uwzględnione. Ja nawzajem w swoim czasie złożę Czytelnikom serdeczne życzenia „Wesołych Świąt i końca wojny!“, bo na więcej mnie nie stać. Radaby dusza do raju, ale trudno...

Lat temu kilka zakpił sobie za mnie jeden z mych znajomych, ofiarowując mi na gwiazdkę napisaną przez się książkę p. t. „Sposób dojścia do majątku“. Przeczytałem ją kilka razy, od początku do końca i odwrotnie, niektórych ustępów nauczyłem się nawet na pamięć, niestety, na nic się to nie przydało. Ani rusz wstąpić w ślady bohaterów, których życiorysy tam spisane. Naśladując ich, chciałem hodować indyki i kupiłem nawet jeden okaz (dziś już zjedzony), zbierałem potem skórki pomarańczowe, z których Weronisia zrobiła doskonałą nalewkę, ale wszystko na nic!... Pieniędzy jak nie miałem, tak nie mam, pocieszam się przecież myślą, iż nie ma ich i sam autor książki. Wobec tego nie biorę też udziału w ankiecie, jak się ma nazywać przyszły pieniądz polski. Byłbym zdania, że najpierw trzeba się postarać, aby był, o nazwę mniejsza... „Niechby się zwał, jak chciał... byle był“. Ów pan, który się tak cieszy ze swego wynalazku (wymyślił nazwisko „setnik“), niech wie, że to nic nowego, gdyż halerz oddawna nazywa się po rusku „sotnik“.

Według więc mego zdania, najpierw należy skończyć wojnę, potem postarać się o pieniądze, a potem dopiero myśleć, jak je nazwać.

W Ameryce, której wojna już się także sprzykrzyła, rozpoczęła żywą agitacyę za pokojem Liga, zostająca pod przewodnictwem Tafta. Propaganda pokojowa zyskuje coraz więcej zwolenników. Dzienniki przemawiają za pokojem, za pokojem są także i kupcy, którzy na amerykańskiej neutralności zrobili doskonały interes.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył R Belke, Kraków.

Pierwsza-trzecia za gościa miała Zbawcę świata,
Drug -trzecia wstrzymuje, wiąże z wielką siłą,
Całość roślina, którą we wianki się wplata,
Wieszcz nam znany zostawił o niej piosnkę miłą

Logogryf.

Ułożył Iii Ey, Kraków

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Srodkowy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwę instytucyi, która zwłaszcza w wojennym czasie, oddała ludzkości znakomite usługi.

— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — — — — — □ — — — — — —
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — — □ — — — — — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —

Znaczenie wyrazów: 1 Zdrobniałe imię męskie 2 Miasto w Rosyi 3 Wyspa na morzu Śródziemnem 4 Gwałtowny opad atmosferyczny. 5. Imię męskie 6. Dwie pierwsze litery imienia i nazwisko polskiego malarza. 7 Szukany wyraz 8. Dwa imiona męskie 9. Miasto w Japonii 10 Zwierzę domowe 11 Zdrobniałe imię męskie. 12 Pojazd 13 Przybór kucharski.

Rozsypane litery.

Ułożył E Winter, Tarnów

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, a, a, a, a, ć, g. j, k, n, o, p, r, r, r, t, y, z.

Łamigłówka literacka.

Ułożył Iii Ey, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały tytuły powieści Kraszewskiego. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, da także tytuł powieści tegoż autora.

□ — — — — —
□ — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Jerzy, jaskier, jaje, okonie, wędka, chrzan, chan, chlew, wiano, wyka, wici, piec, uda.

Okienko.

Ułożył Iii Ey. Kraków

Podane litery w ten sposób uporządkować aby powstały trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
b b d
d f f g g
i i l
l l o o s

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie. 2 Papier wartościowy. 3. Inaczej lokaj (wyrażenie pogardliwe).

Zadanie konikowe.

Ułożył E Winter, Tarnów

je	nik	cho	cho	sa	roz
na	ny	śmie	pust	orze	ciaz
wy	że	o	ciaż	szek	mo
a	łzy	ścia	cież	ona	ny
ni	nas	czam	le	tne	to
spusz	tak	ja	święę	cha	tak
tępi	cze	da	za	je	mi
ja	oczy	po	oto	mło	ko

Szarada.

Ułożył H M, Kraków

Pierwsze jest niebezpieczne, gdy namiętność budzi,
Drugie przyjmek, *trzecie* się mówi do ludzi,
Wszystko zdobi niekiedy, ale czasem zato
Śmierć szerzy i zniszczenie, rzucone armatą.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Buddo! On poci się często srodze! Tom, dno i zez

Bilety wizytowe.

Ułożył Ii Ey, Kraków

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

ZYTA INA R SUSKA

IRMA SZACKA

KSENIA KANT

MARTA UFECKA

E RZUTERSKA

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 48.

Łamigłówka:

Nil
Ivo
Era
Pol
Odo
Don
Ln
Eli
Gaz
Łan
Aga
Pas
Oko
Lis
San
Koń
Ara

Szarada: Panorama.

Kwadrat magiczny:

P o z a
O r e ł
Z e b u
A ł u n

Zadanie do przestawienia: Tak krawiec kraje, jak mu materyi staje

Trójkąt magiczny:

M a l e b u s
A r a b i a
L a m p a
C y n k
H u k
U r
S

Zadanie do uzupełnienia Niema ognia bez dymu

Logogryf

T r z e ś n i a
O l e a n d e r
R o h a t y n a
Q u a r n e r o
U r z ę d n i k
A s t r o n o m
T u b e r o z a
O p e r e t k a
T u r k a w k a
A r s z e n i k
S a n s k r y t
S k ł a d n i a
O g r o d n i k

Zadanie do przestawienia: Kto o czem baje, temu się staje

Bilety wizytowe: Fornal dworski Komisant Naturalista. Prokurzysta Rękodzielnik

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków Z. Sperling Wiedeń, M Sokołowska Kraków S Karwowski Gniezno. H Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno. D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim. S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K. Borowiecki Lwów M Golska Wiedeń M Raczyńska Lwów, W Nowiński Tarnów, R Wójcik Przemyśl, Z Małecki Lwów, S Burzyński Jasło, M Borkowska Przemyśl. Z Walkowski Brzesko, H Dziedzic Tarnów. R Królicki Krościenko n D, A Paliga Dąbrowa Górnicza, W. Styczyńska Kraków, E Winter Tarnów

Nagrodę przez losowanie otrzymała p **M. Raczyńska Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Do P. T Czytelników!

Zbieramy marki z listów na jeńców wojennych Polaków. Marki te nadsyłać należy z podaniem ich liczby do Komitetu opieki nad jeńcami wojennymi Polakami Kraków. Gołębia 20

Potrzebny ołtarzyk polowy! Kapelan pierwszego i drugiego pułku ułanów Legionów polskich zwrócił się do krakowskiego Koła Ligi Kobiet N K N. z prośbą o ołtarzyk polowy Ponieważ Koło w tej chwili nie rozporządza odpowiednim funduszem, apeluje do ofiarnego społeczeństwa o datki pieniężne, względnie potrzebne do ołtarzyka przedmioty Brakuje jeszcze: Humerał. alba. pasek, ornat i stuła (białej lub złotawej barwy) płyta ołtarzowa z relikwiami, mszał (mały format), stuła czarna, naczyńko na oleje św i Rituale Sacramentorum

Datki i dary przyjmuje Sekretaryat Koła Ligi, Gołębia 20 od 12 do 1 w południe.

Z półek księgarskich.

Dr Jan Sas Zubrzycki, profesor architektury i estetyki: **Wiązania polskie.** Przyczynek do dziejów budownictwa ceglanego w Polsce Lwów 1916 Czcionkami Złożni przy Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich Nakład własny

Dziełko ozdobione licznemi illustracyami, wykazuje. że sztuka polska istniała od najdawniejszych czasów, a największa samodzielność nasza wtedy żyła w sztuce, kiedy ona nie podlegała żadnym wpływom ościennym, lecz przeciwnie słała nasienia swoje na wsze strony świata starego Wiązania polskie, liczne a rodzime, są i będą świadectwem sztuki naszej, własnej Potrzeba jedynie wiary naszej w ożycie sztuki polskiej

Subskrybujcie V. pożyczkę wojenną.

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia" Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 8 (dom własny) Telefon Nr. 381.

Miód

zastępuje drogie masło. Bańka pocztowa 5 kg. 10 K. Wysyłka za pobraniem Cenniki niemieckie lub czeskie wysyła **Fr. Wenzel, Baumschütz Ołomuniec 70.**

PRECZ Z WIDZIALnem skróceniem nogi Wasz chód będzie elastyczny i lekki. Każdy normalny bucik do noszenia.



Broszura darmo Nr. W. 251 wysyła **A. Volk Wiedeń, S. B. Hauptstr. Nr. 139.**

HUMORYSTYCZNY

KALENDARZ „BOCIANA"

na rok 1917

już wyszedł i jest do nabycia we wszystkich trafikach i księgarniach.

Nabywać go też można wprost w Administracyi „Bociana", Kraków XV. Przesyłkę uskutecznia się odwrotnie **za nadesłaniem należytości z góry, za egzemplarz 1 kor. 40 halerzy, na porto 10 hal., lub 60 hal. na porto rekomendowane.** Za przesyłki nie rekomendowane Administracya nie odpowiada.

Branzoletka z zegarkiem i szkłem ochronnem

Radiowa tarcza świecąca.



Branzoletka z zegarkiem i rzemykami, duży format, K 8·—. Radiowy K 12·—. Branzoletka z zegarkiem, mały format K 10·—, 12·—, radiowy K 15·—, 18·—, z precyzyjnym werkiem Anker K 24·—, marki Analfa K 30·—, Omega K 60·—. radiowy K 10·— i więcej. Szkło ochronne K 2·— i więcej. Wojenny zegarek z dobrym werkiem Anker kor. 6·—. I. jakości K 10·—, prawdziwy srebrny K 20·—. Budzik kieszonkowy K 24·—, radiowy K 32.—. Wojenny budzik niklowany 20 cm, wysoki K 8·—, pierwszej jakości koron 10·—, budzik z trąbką koron 12·—. 3-letnia gwarancya. Wysyłka tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości i 1·— K na opakowanie i porto opłacone do całych Austro-Węgier i w pole wysyła **I-szy skład zegarków wojennych**

Max Böhnel, Wiedeń, IV. Margaretenstrasse 27/62.

Oryginalny cennik fabryczny darmo.

Nowość! Kieszonkowa lampa dynamo (bez bateryi) 20 koron. **Nowość!**

Każdy jest tem zachwycony!

Kieszonkowe kino!

Aparat z 50 filmami, w gustownej kasecie **tylko 2·10 K.** Osobna serya filmowa **1 K.** Kinematograf z ręcznym obrotem, lampą, etc. Koron 14·—, 25·—, 38·—. Odpowiednie filmy K. 1·—, 2·—, 3·— i więcej według długości W krótkiem czasie **pół miliona** sprzedano Za nadesłaniem należytości i 80 hal. na porto i opakowanie. Za pobraniem 60 hal. więcej wysyła

T. R. Bergmann, Wiedeń V., Kohlgasse 46/III.

Odsprzedającym odpowiedni rabat.

8 halerzy



kosztuje karta korespondencyjna, zapomocą której zamawiać można mój główny katalog który na żądanie bezpłatnie wysyła:

Pierwsza fabryka zegarków

Hanns Konrad

c. i k. nadw. dostawca w Brüx Nr. 1569 Czechy

Niklowy albo stalowy zegarek Anker Kor. 6—, 7—, 8—, ze szwajcarskim werkiem K. 7·—, 8·—, 9·—. Pamiątkowe zegarki niklowe lub stalowe Kor. 11·—, 12·—. Wojskowe zegarki z radium niklowe albo stalowe Kor. 12·—. Masiwne srebrne zegarki „Roskopf" K 19·—, 20·—. Budziki ścienne i stojące w wielkim wyborze po bardzo nizkich cenach. Na każdy zegarek 3 letnia gwarancya. Wysyłka za zaliczką. Bez ryzyka! Wymiana dozwolona lub zwrot pieniędzy!

Zdolnego montera instalacyjnego

poszukuje

Zarząd wodociągu miejskiego w Krakowie, Dz. XII., ul. Senatorska 1.

Pewny skutek. Tysięczne listy z podziękowaniami każdej chwili do przejrzenia. **Jędrny piękny biust** otrzyma się przez użycie **Dra med. A. Rixa kremu na biust.** Urzęd. stwierdzony jako nieszkodliwy, dla każdego wieku szybko i **pewnie działający.** Do użycia zewnętrznie. Jedyny krem na rozwój biustu, który z powodu nadzwyczajnego działania wprowadzony został do aptek, nadw. drogueryi etc. Próbna doza K 3·30, wielka doza, wystarczająca dla skutku K 8·80. Wysyłka pod ścisłą dyskrecyą Dra **A. Rixa** kosm.-labor **Wiedeń IX, Lakierg. 6/F.** Składy w Krakowie: Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15; Reim i Ska, Rynek gł. 37. Droguerya Komorowskiego, Floryańska 33. Perfumerya pod „Kometą". K. Miklaszewski, plac Dominikański. **We Lwowie** do nabycia: S. Rucker, apteka pod „Srebrnym orłem" ul. Krakowska 1, Perfumerya Sładowskiego. Bielsko: droguerya Polaczka, Kolejowa. Kołomyja: apteka Lopotka, ul. Jagiellońska. Tarnów: droguerya Bracha. W Cieszynie: Schw. Hunddrog. i Anckerdrog.

Już wyszedł

Album Legionów Polskich

Zeszyt I.

Cena 2 korony.

Do nabycia w Administracyi „Nowości Illustrowanych".

Premium noworoczne

dla Czytelników „Nowości Illustrow."!

Wacława Grabiańskiego

„Wojenny balonik"

(Bajki i nie-bajki)

Zbiór humorystycznych obrazków, wierszy i migawek, osnutych na tle niedomagań obecnego życia wojennego.

Cena księgarska 2 korony.

Dla Czytelników „Nowości Illustr." tylko 1 kor.

Jedyny w Przemyślu który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia" JAN SMYK

Przeprowadza ekshumacye i transport zwłok z każdej miejscowości.

Wyjaśnień udziela się chętnie.

Przemyśl, Rynek L. 16

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Potrzebny uczeń do drukarni i kliszarni Nowości Illustrowanych

Drukarnia D. E. Friedleina

w Krakowie, ul. Kazimierza W. 95. Tel. 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele i t. p. szybko i starannie, po cenach umiarkowanych.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipiński. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.